

## M A T E R I A Ł Y

**Stanisław Salmonowicz**

Toruń

### Moja sprawa karna 1970/1971

#### 1. Uwaga wstępna

Zazwyczaj opisy różnych perypetii związanych z działalnością SB w latach 60. w siedmiu dziesiątych koncentrują się na kwestiach personalnych, na elementach pewnej sensacji czy „lustracji”. Ostatnio tekst Andrzeja Friszke<sup>1</sup>, ukazujący głównie taktykę i metody działania SB w stosunku do środowiska tzw. komandosów, zachęcił mnie do opisanie sprawy karnej w granicach tylko mojego udziału, ale z głównym celem ukazania, w jakiej mierze ewoluowała taktyka i metody działania UB i SB zarówno w działaniach co do konkretnych środowisk, jak i zależnie od „etapu” dziejów PRL. Myślę, iż to właśnie jest szczególnie istotne z punktu widzenia historycznego, a nie spory wynikające z ocen zachowania czy działania osób, które w ten czy inny sposób znalazły się w orbicie działań służb tajnych PRL.

Materiały wydawane w ostatnich latach wiele kwestii zobrazowały, acz nie zawsze badacze, zwłaszcza młodszego pokolenia, zwrócili uwagę na owe kwestie ewolucji metod i praktyk działania służb specjalnych. Faktem jest, iż jako tzw. osoba pokrzywdzona, będąca przedmiotem szerszych czy ogólnikowych zainteresowań SB gdzieś od epoki lat 1956/1957 praktycznie aż po koniec reżimu, a także jako historyk, głównie na UMK zajmujący się od lat 90. problemem uwikłania środowisk uniwersyteckich w siłła SB, posiadam tu pewien bagaż zarówno własnych doświadczeń, jak i szerszą orientację w metodach działania SB<sup>2</sup>.

---

<sup>1</sup> Por. A. Friszke, *Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi*, Warszawa 2010.

<sup>2</sup> Jako osoba pokrzywdzona otrzymałem w 2004 r. z IPN okazały zestaw „teczek” mnie dotyczących: sygn. akt IPN BY 081/267, t. I–VIII, IPN BY 001/32, t. I–V, IPN BY 0141/5, t. I–II. Jest to obszerny, acz chaotyczny w układzie materiał dowodzący zainteresowań różnych instancji SB moją osobą gdzieś od początku 1957 r. aż po końcowe lata 70. Już wtedy doszedłem do wniosku, iż ewentualny historyk młodszego pokolenia będzie miał spore trudności w zrozumieniu wielu tekstów, spraw, identyfikacji

Stąd myśl ujęcia — z mojego oczywiście tylko punktu widzenia — sprawy karnej, w którą zostałem n.b. wmieszany dość ubocznie i przypadkowo, by stworzyć w ten sposób jednak pewien przyczynek do działań SB w latach 60. i 70.<sup>3</sup>

## 2. Słów parę pro domo sua

Informując o pewnych moich działaniach w epoce Władysława Gomułki, trzeba krótko wskazać, jaka była moja postawa „moralno–polityczna”, by używać nowomowy z doby PRL, przed okresem mojego zaangażowania w konkretne działania na rzecz „Wolnej Europy”, co było główną przyczyną moich kłopotów w 1970 r. Otóż nie da się zaprzeczyć, iż jestem mocno związany rodzinnie, losami II wojny i pierwszych lat powojennych, ze środowiskiem, które można nade wszystko określić jako piłsudczykowski–peowiackie. Mój ojciec, który zmarł przedwcześnie w 1935 r., był jednym z organizatorów POW. w Wilnie, cała niemal rodzina wileńska, o korzeniach litewsko–ziemiańskich, była związana z POW. Natomiast moja rodzina krakowska poprzez późniejszego pułkownika Armii Krajowej, Ludwika Muzyczkę „Benedykta”, legionistę, działacza Związku Strzeleckiego i uczestnika różnych tajnych działań antyniemieckich w latach 30., była, *nolens volens*, bliska rządowi sanacyjnemu, choć raczej kręgom zbliżonym do tzw. lewicy sanacyjnej. W czasie wojny Ludwik Muzyczka należał do głównych współpracowników generała Stefana Roweckiego, współtworzył administrację Polski Podziemnej, a po powrocie do kraju z niewoli popowstaniowej współtworzył nadal tajne struktury antykomunistyczne, należąc m.in. do inicjatorów powołania „Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość” (WiN). Za swoją działalność okupacyjną i tą z roku 1945 odpokutował latami więzień komunistycznych (grudzień 1945–grudzień 1949, listopad 1950–jesień 1954)<sup>4</sup>. W żadnym ze swoich procesów, co należało podkreślić, nigdy się nie załamał, nie szedł na żadne układy z władzą ludową i do końca życia był pod nadzorem ścisłym służb specjalnych PRL. Warto też dodać, iż inni moi krewni także siedzieli latami w więzieniach komunistycznych, tracili, jeżeli nie życie, to zdrowie, nieraz i wszelkie szanse życiowe. Ludwik Muzyczka w 1949–1950 r. był przeciwny dalszej konspiracji, nie widział jej szans. Nalegał w 1949 r., bym naprzód kończył studia, czekał na dalszy bieg wydarzeń. Stąd dopiero w 1956 r. podejmowałem pewne, bardzo skromne działania w Krakowie, które tylko częściowo zwróciły na mnie uwagę reorganizowanego SB<sup>5</sup>. Tu pewna dość istotna metodologiczna

---

osób i dlatego, zgodnie z możliwością przewidzianą w przepisach, przekazałem do IPN w Bydgoszczy mój komentarz pt. Uwagi „figuranta” do Teczki SB na jego temat, stron 33.

<sup>3</sup> Sprawie, w którą zostałem wmieszany na tle współpracy z „Wolną Europą”, poświęcił ogólniejsze opracowanie P. Machcewicz, *Operacja „Olcha” Władysław Bartoszewski, Radio Wolna Europa i Służba Bezpieczeństwa*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2006, z. 2, s. 115–142. P. Machcewicz zapoznał się z moim wyżej wspomnianym komentarzem, ale siłą rzeczy nie moja sprawa była przedmiotem jego szczegółowych ustaleń, także nie zapoznał się z moimi „teczkami” SB wyżej cytowanymi. Stąd doszedłem do wniosku, iż warto pewne kwestie wyjaśnić szerzej, stanowią one również przyczynek do interesującej mnie szczególnie zmiennej taktyki, czy strategii służb specjalnych PRL.

<sup>4</sup> Por. moje opracowanie pt. *Ludwik Muzyczka (1900–1977) polityk i żołnierz. Przyczynek do dziejów Armii Krajowej*, Warszawa 1992.

<sup>5</sup> Moją działalność krakowską *quasi* opozycyjną lat 1956–1966, jak i moje pewne związki dysydenckie zagraniczne sprzed kontaktów z „Wolną Europą” opisywałem w dwóch tekstach: 1. *Rozmowy ze Stanisławem Kotem*, w: *Szkice z dziejów ustroju i prawa poświęcone pamięci Ireny Malinowskiej–Kwiatkowskiej*, Kraków 1997, s. 143–151 oraz 2. *Krakowskie „prehistoryjki” opozycyjne lat 1956–1966*, „Arcana” 2006, nr 68/2, s. 70–99.

uwaga, zarówno pod adresem nadmiernych entuzjastów zawartości „teczek”, pracujących w IPN, jak i pod adresem autorów negujących wszelkie jakoby sukcesy SB. Uważam się w pewnej mierze za specjalistę tych spraw i powtarzam swój pogląd wyrobiony od paru lat: nie jest oczywiście prawdą, że SB odrodzona „wszystko wiedziała”, tak samo nie jest prawdą pogląd, iż owe nieszczęsne „teczki” zawierają głównie fałszywki, bądź iż głównym celem oficerów SB było wykazywanie się aktywnością, której nie było! Otóż chciałbym tu zaakcentować mój pogląd, który jest zbliżony do tych tekstów rodem z IPN, które nie miały żadnych podtekstów związanych z polityką bieżącą rodem z... IV Rzeczypospolitej...

Każdy rzetelny historyk, zorientowany w działaniach SB w epoce lat — powiedzmy — 1957–1989, skłonny będzie raczej przyjąć moje stanowisko, które po pierwsze, rozróżnia pewien okres chaosu i reorganizacji służb specjalnych po wstrząsach lat 1955–1956: SB została częściowo personalnie przebudowana, częściowo sięgała po nowych, wykształconych uniwersytecko czy lepiej przygotowanych w ramach resortu oficerów, zaczynających swoje działania nie wcześniej niż w latach 1955–1957. Równocześnie etapami wprowadzono nowocześniejsze metody techniczne (koszty!) inwigilacji, a w szczególności doszło do rozbudowy — także etapami — nowej sieci agentów, szukanych nade wszystko w tych środowiskach, które władze będą uważały za najniebezpieczniejsze. Stąd, moim zdaniem, początkowo, walcząc z rewizjonizmem, walcząc z pewnymi wystąpieniami „popaździernikowymi”, służby specjalne nie były wystarczająco przygotowane do ogarniania „na nowo”, metodami subtelniejszymi niż metody epoki stalinowskiej, wielu środowisk. Dlatego też — w moim przekonaniu — szeroka środowiskowa aktywność nowej SB wyraźnie będzie odczuwana (rejestrowana w licznych nowych teczkach) dopiero chyba od około lat 1959–1961. Być może co do niektórych środowisk moje uogólnienie nie jest w pełni adekwatne. Nie ulega natomiast wątpliwości, iż w miarę lat, w każdym razie chyba od roku 1964 (wściekłość Gomułki na tle Listu 34)<sup>6</sup>, także w związku z aktywnością grupy Moczara i oczywiście od r. 1967 w związku z przygotowaniem działań „antysyjonistycznych”, owa aktywność będzie zdecydowanie rosła, swoistym apogeum będą lata 1968–1970. Potem — wbrew może pozorom, wbrew legendzie o niezwykłym „liberalizmie” Edwarda Gierka — nastąpi ponowna reaktywacja służb specjalnych, która — *mutatis mutandis* — będzie trwała aż niemal po rok 1989.

Trzeba jednak wskazać po drugie, iż metody działania, ich skutki w latach 60.–70. — będą zdecydowanie się różnić od metod działania służb specjalnych epoki stalinowskiej. Oczywiście można by i należy w szczegółach ten proces opisać, materiały są już nieraz znane, trzeba z nich wyciągnąć wiele wniosków, ale na tym miejscu krótko tylko chciałbym zaakcentować, iż po pierwsze, nowe kierownictwa służb specjalnych (jaka była tu rola tajnych dyrektyw, nieraz ustnych, kierownictwa PZPR, nie zawsze jest to jasne) zarówno w pierwszym okresie rządów Władysława Gomułki, jak i w dobie zwłaszcza Edwarda Gierka dążyły do ograniczania represyjnych interwencji milicyjnych do pewnego — wedle ich optyki — koniecznego minimum. Nie dysponuję szczegółową statystyką, ale przecież wiemy, iż przypadków procesów ściśle politycznych, po roku 1956, przed latami 1968–1970, było bardzo mało. Część z nich, dodajmy, była prowadzona w warunkach daleko posuniętej nie-

---

<sup>6</sup> Nie opisuję bliżej moich działań wcześniejszych, niezwiązanych z współpracą z „Wolną Europą”, ale tu podkreślam, iż w zbieraniu przez Jana J. Lipskiego podpisów pod tzw. później Listem 34 brałem w Krakowie — razem z Janem Prokopem, dziś znanym profesorem literatury — czynny udział i warto podkreślić, iż ta akcja zupełnie uszła uwadze służb specjalnych w Krakowie. Prof. Stanisław Waltoś, J. Prokop i ja jesteśmy dziś jedynymi świadkami wydarzeń krakowskich związanych ze zbieraniem podpisów pod protestem znanym jako List 34.

jawności, co mogło wskazywać społeczeństwu, iż spraw politycznych, liczonych w latach 50. na wiele setek czy tysięcy postępowań karnych, właściwie jakby nie było. W gruncie rzeczy masowych procesów politycznych typu „taternicy” prawie nie było przed epoką procesów „komandosów” czy słynnego „Ruchu” braci Czumów i Stefana Niesiołowskiego. Dziś przecież wiemy, iż wbrew pozorom kontrola władzy nad społeczeństwem stale rosła, ale metody represji ściśle karnej były zastępowane szerokim wachlarzem metod subtelniejszych, operujących zarówno metodą przysłowiowej marchewki, jak i czasem kija. Posłużę się tu przykładami znanymi mi dobrze ze środowiska uniwersyteckiego: kupowano ludzi w różnych sytuacjach obietnicą wypuszczenia na lukratywne stypendia zagraniczne, obietnicą dania lub groźbą odmowy pożądanego paszportu zagranicznego. Sprawy awansów, a zwłaszcza zgody na etat docenta, na tytuł profesora, stanowiły środek łamiący, mniej lub bardziej, kręgosłupy wielu ludzi. Istniały różne inne metody zastraszania czy skłaniania ludzi do zachowań pożądanых w danej sytuacji przez władze. Wyrzucenie z pracy, postępowanie karne to były środki nadzwyczajne, przed rokiem 1968 niezwykle rzadko używane.

O co więc chodziło Partii i jej podległym służbom specjalnym? Władze chciały w miarę możliwości wiedzieć „wszystko” o ludziach na pewnych stanowiskach uznawanych za istotne dla reżimu. Stąd cała polityka „kontaktów operacyjnych”, „kontaktów obywatelskich” i sieci agentów, by wiedzieć o ludziach tyle, by — w razie potrzeby — podejmować konkretne śledztwa personalne, oparte już o całą, kosztowną gamę środków operacyjnych. Nie będę tu oczywiście żadnym nowatorem, wymieniając główne takie środki, dobrze dziś znane: raporty tajnych agentów, kontrola korespondencji, podsłuchy (minimum podsłuchu to podsłuch telefoniczny, maksimum to podsłuch wszystkiego i wszędzie), do tego służby fotograficzne i — w razie potrzeby — stała personalna inwigilacja trwająca nieraz miesiącami. Jeżeli jakaś osoba zainteresowała służby specjalne w sposób istotny, to gama sposobów działania przed ewentualnym aresztowaniem była rozbudowywana, pod koniec lat 60. już z wykorzystaniem nowoczesnych środków technicznych. Nie zawsze dysponujemy pełnym zestawem materiałów SB dotyczących danej sprawy czy danej osoby. Główny problem, niezwykle trudny i nieraz sporny, to jednak kwestia interpretacji zebranych materiałów. Powtórzę tu kilka stwierdzeń, może banalnych z punktu widzenia dobrego warsztatu historyka, ale jakże często negliżowanych przez dziennikarzy, czy historyków, szukających na kogoś „haka”.

Wiarygodność czy brak wiarygodności danego dokumentu z akt SB można widzieć na trzech płaszczyznach. Płaszczyzna pierwsza to ustalenie, że dokument jest autentyczny, co oznacza, iż w podanej dacie jego wystawca jest także autentyczny. To oczywiście nie przesądza, że formalnie autentyczny dokument może być co do treści nie w pełni wiarygodny. Pierwsza możliwość: wystawca świadomie formułuje jego treść niezgodnie z faktami, czyli jest to informacja fałszywa, acz pochodząca z autentycznego źródła i dążeniem wystawcy było podanie informacji fałszywej w celu wprowadzenia kogoś w błąd — zwierzchników (?), prokuratora bądź osób ujętych w danym śledztwie dla wywołania u takiej osoby odpowiednich dla SB reakcji w związku z tym dokumentem. Możliwość druga, bardzo częsta: wystawca dokumentu (agent bądź oficer prowadzący, bądź inne osoby jako autorzy oficjalni tego dokumentu, np. tzw. agent celny) podaje informacje, które uzyskał w ten czy inny sposób, lecz informacje te są nieprawdziwe, jednak wystawca dokumentu tego nie wie, podaje jedynie wieści zasłyszane, często nieściste.

Fałszywką stuprocentową jest rzekomy dokument SB, który w tym sensie nie jest autentycznym dokumentem SB, ale został z reguły post factum spreparowany dla jakiś celów i stanowi stuprocentowe fałszerstwo: ani data wystawienia dokumentu, ani jego wystawca czy inne osoby wspomniane w tym rzekomym dokumencie nie są w tym kontekście autentyczne,

cały bowiem dokument jako całość jest fałszywką spreparowaną w takich czy innych celach. Takie fałszywki zdarzają się raczej rzadko, najczęściej spreparowano je w stanie wojennym celem skłócenia działaczy „Solidarności”, bądź nawet później, już dla celów polityki epoki po 1989 r.<sup>7</sup>

Powyższe stwierdzenia nie sugerują oczywiście, że oficerowie SB sami siebie czy zwierzchników oszukiwali. Sądzę, że około 80–90% takich dokumentów to dokumenty autentyczne, natomiast zawarte w nich informacje o działaczach opozycji mogą być bardzo często nieścisłe, wyolbrzymione (w różnych kierunkach!), często są to echa nieprawdziwych informacji dostarczonych przez sieć agentów, często — przetworzone z ust do ust pogłoski, które dany agent przekazał do centrali<sup>8</sup>.

Od wznowienia „Tygodnika Powszechnego” w 1957 r. byłem w redakcji przez kilka lat niemal stałym gościem, moimi przyjaciółmi czy znajomymi byli liczni młodzi redaktorzy: Antoni Łubkowski, Jan Prokop, Marek Skwarnicki, Krzysztofa Kozłowskiego znałem jeszcze z gimnazjum, itd. Poznałem więc około 1958 r. także Władysława Bartoszewskiego i pozostawałem z nim w luźnych kontaktach, odwiedzałem czasem w siedzibie Zarządu Głównego Towarzystwa Bibliotekarzy bądź nawet w domu. Kiedy wracałem w 1961 r. z Francji do Polski, przywiozłem informacje Stanisława Kota kładącego nacisk na problem fałszowania w jakiejś mierze w USA polskiej rzeczywistości okupacyjnej przez środowiska żydowskie. Stąd skontaktowałem się w tej kwestii z Władysławem Bartoszewskim, który, jak wiedziałem, był znawcą tych spraw. Później, było to chyba około 1965 r., poinformował mnie, że posiada pewne możliwości kontaktów informacyjnych „na Zachód” i parokrotnie o sprawach nas interesujących rozmawialiśmy. Wreszcie w 1966 r., kiedy poinformowałem go, że wyjeżdżam na kilka miesięcy do Francji, wyraził gotowość skontaktowania mnie z Tadeuszem Żencykowskim, o którym wiedziałem, że był przyjacielem Ludwika Muzyczki i że będzie miał do mnie pewne prośby z tej okazji. Tak więc od tej pory wiedziałem — oczywiście bez żadnych szczegółów — że istnieją poprzez niego kontakty z „Wolną Europą”. Sam od pewnego czasu byłem zdania, że wiele audycji „Wolnej Europy”, jej język skierowany do młodego pokolenia w kraju należy modernizować: mniej wspominków, czy żalów emigracyj-

---

<sup>7</sup> Odwołuję się nie tylko do doświadczeń własnych, ale i do zdobytych na stanowisku przewodniczącego komisji doradczej Rektora UMK do tych spraw. Uniwersytet Toruński był pierwszym uniwersytetem w kraju, który na mój wniosek wypracował pewne zasady postępowania w sprawach quasi lustracyjnych; także na UMK powstała i działa od lat komisja historyków (kieruje nią prof. Wojciech Polak), która prowadziła i prowadzi szczegółowe badania — na podstawie nie tylko akt IPN — co do tematyki ogólnie zatytułowanej: UMK w obliczu działań służb specjalnych PRL. Dla uniknięcia nieporozumień sprecyzuję tu mój pogląd, iż gros personalnych spraw tego typu sprzed 20 lat traktować należy jako nie zawsze może miłe, ale śmieci minionej epoki. Jedynie w sprawach o bezdyskusyjnych ustaleniach, świadczących o poważnej roli danej osoby w działaniach służb specjalnych, istnieje niekiedy konieczność zajmowania przez środowisko stanowiska.

<sup>8</sup> Agenturalne doniesienia na mój temat, zwłaszcza z okresu krakowskiego, były niekiedy dla mnie nazbyt pochlebne, przypisywały mi działania czy kontakty, których w rzeczywistości nie miałem. Być może to spowodowało, iż w okresie po roku 1970 byłem szereg lat tak mocno pilnowany, zarzucano mi m.in. inspirowanie nielegalnych działań ekipy „ROPCIO” w latach 70. Prawdą jest, iż znałem wielu tych działaczy, z Emilem Morgiewiczem na czele. Natomiast moje wieloletnie związki, bardzo kamuflowane, z ppłk. Józefem Rybickim, także w stanie wojennym, w zasadzie pozostały poza wiedzą SB. Por. także moje uwagi o książce Andrzeja Friszke o opozycji politycznej w PRL w latach 1956–1980, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 1995, t. XLVII, z. 1–2, s. 229–237.

nych z Londynu, mniej krytyki napastliwej stylistycznie (miałem tu na myśli m.in. Wiktora Trościankę, endeka, który po ujawnieniu obecnie archiwów SB okazał się postacią miłą, podobnie jak całe środowisko Jędrzeja Giertycha w Londynie), nieużywania terminu „sowiecki”, co w Polsce wówczas uważano za termin agresywny pejoratywnie, itd. Tak więc uzgodniłem moje kontakty via Francja do Monachium, a także, nie informując mojego wuja Ludwika Muzyczki o moich związkach warszawskich, powiedziałem mu, że może będę miał możliwość nawiązania znajomości z Tadeuszem Żencykowskim, i prosiłem, by dał mi takie zlecenie osobiste, które Tadeusz Żencykowski musiałby uznać za pochodzące autentycznie bezpośrednio od Muzyczki. W rezultacie, wyjeżdżając w marcu 1966 r. na trzy miesiące do Grenoble, wziąłem od Władysława Bartoszewskiego dane na kontakt z Żencykowskim (który używał w Monachium nazwiska Zawadzki i pod tym nazwiskiem występował w „Wolnej Europie”). Nie znalazłem w moich aktach SB żadnego śladu mojej podróży do Grenoble i te kontakty roku 1966 nie zaistniały w ogóle w świadomości śledczych w roku 1970.

Przybyłem więc w dobrym humorze po udanej habilitacji na UJ do Grenoble i z miejsca, z telefonu publicznego (budki telefonicznej) połączyłem się z Żencykowskim. Przekazałem mu pozdrowienia od Muzyczki tak skonstruowane, że wiedział, iż jestem autentycznym posłańcem „Benedykta”, a następnie oczywiście powołałem się na misję od Władysława Bartoszewskiego i przekazałem mu te krótkie, ważne kwestie (nie pamiętam już jakie, m.in. była tam informacja o wyjeździe, chyba do Włoch, p. Ewy Dreżypolskiej i jej spotkaniu z Żencykowskim, itd.). Za pierwszą rozmową poszły dalsze (nb. odtąd na jego rachunek, co nie było bez znaczenia dla moich finansów, natomiast poza ew. kosztami technicznymi takich czy innych spotkań, podkreślał, nigdy żadnych honorariów czy zasiłków od Radia nie otrzymywałem i nie chciałem otrzymywać — traktowałem naszą współpracę jako czysto polityczną akcję w walce z reżimem), a następnie umówiliśmy spotkanie w Paryżu. Był to chyba kwiecień 1966 r. Przyjechałem na 2–3 dni do Paryża z Grenoble. Hotel finansowała mi redakcja z Monachium, razem z Żencykowskim zjadłem też chyba ze dwa obiady czy kolacje. Przekazałem mu swoje uwagi na piśmie (moje własne), które dotyczyły z jednej strony sytuacji społecznej, politycznej kraju, a z drugiej strony były uwagami krytycznymi o pewnych audycjach czy stylu „Wolnej Europy”. Pamiętam, że kładłem nacisk na to, że sporo osób z inteligencji, a zwłaszcza młodzież, ludzi dość krytycznych wobec rzeczywistości PRL, uważa nieraz, że Telewizja Warszawa i „Wolna Europa” są niemal na równi tendencyjne. Prosiłem, by działali bardziej *suaviter in forma*, choć nadal *fortiter in re*. Wedle mojej orientacji wywarłem w ten sposób wpływ na działania właśnie powołanej w ramach Redakcji specjalnej audycji z myślą głównie o młodzieży pt. *Czarne na białym*. Sugerowałem więcej spraw ekonomicznych, nacisku na marnowanie polskich szans, ale także więcej spraw historycznych, by przeciwdziałać zakłamywaniu historii II RP i okupacji. Myślę, że może moje uwagi wywarły pewien wpływ: Żencykowski moim zdaniem dobrze chwytał różne niuanse klimatu krajowego, daleki był od jałowej, biernej negacji wielu środowisk londyńskich, bliski był tu wielu wskazaniom Giedroycia. W tym miejscu powtórzę mój pogląd, który, niestety, niektóre czynniki polityczne prawicowe usiłowały w ramach III Rzeczypospolitej nieco zaciemniać: nie negując formalnych założeń kontynuowania legalnych władz II RP, trzeba sobie powiedzieć, iż generalnie emigracja polityczna londyńska godnego uwagi wpływu na Kraj nie miała i w pewnym sensie nawet go nie szukała. Wpływ wyraźny, ważny, nie do przecenienia, miały tylko „Wolna Europa” i Giedroyc. Osobiście uważam, że wpływ intelektualny „Kultury” na elity w kraju nie miał żadnego konkurenta, natomiast w wielu sprawach politycznych i bieżących rola „Wolnej Europy” była najważniejsza.

Już teraz nie pamiętam dokładnie, czy raz jeszcze widziałem się z Żenczykowskim przed powrotem do kraju, czy wymienialiśmy tylko telefony, a spotkałem przed powrotem (wracając przez Paryż) pułkownika Mariana Czarneckiego, wówczas przedstawiciela „Wolnej Europy” w Paryżu.

Relacja Pawła Machcewicza ze studium akt SB o kryptonimie „Olcha” (były to akta sprawy o współpracę z „Wolną Europą” W. Bartoszewskiego) wskazuje, że SB interesowała się Bartoszewskim jako informatorem RWE w związku z relacjami na antenie z procesów przeciwko Melchiorowi Wańkowiczowi, Stanisławowi Catowi–Mackiewiczowi i Janowi N. Millerowi (1964–1965), kiedy ustaliła, że to adwokaci oskarżonych przekazywali przez Bartoszewskiego informacje do „Wolnej Europy”. Przez jakiś czas SB nie mogła jednak ustalić dróg porozumiewania się Bartoszewskiego z zagranicą. Jak się zdaje, dopiero zwrócenie uwagi na podróże bliskiej Bartoszewskiemu Ewy Dreżypolskiej pozwoliło SB na wszczęcie szerokiej akcji od wiosny 1970 r., która objęła śledztwem także moją osobę, w związku z moimi spotkaniami czy rozmowami telefonicznymi (od Bartoszewskiego do Torunia) z Władysławem Bartoszewskim.

Dzisiaj już wiem, że rozpracowanie środowiska Bartoszewskiego w Warszawie zaczęło się około wydarzeń 1968 r. i kampanii antysemickiej. Nie ulega wątpliwości, iż zdecydowane śledztwo w tej mierze rozpoczął kontrwywiad SB w Warszawie. Nie znam akt całej tej sprawy, ale co do mnie, decyzje warszawskie śledzenia mojej osoby przyszły z MSW do KW MO w Bydgoszczy dopiero w kwietniu 1970 r.<sup>9</sup> Hipotezą bardzo prawdopodobną, którą zweryfikować mogą jedynie akta warszawskie mnie nie dotyczące, jest moje przypuszczenie, że dodatkowym punktem wyjścia wszczęcia szeroko zakrojonej inwigilacji była „sprawa Jasienicy”. Jak wiadomo dziś, druga żona Jasienicy, podstawiona TW „Ewa”, znakomicie się zaaklimatyzowała w gronie opozycyjnych literatów warszawskich<sup>10</sup>.

Władysław Bartoszewski należał do najbliższych przyjaciół Jasienicy. Jasienica, szkolony w prasie i wypowiedziach samego Gomułki, bronił się przed atakami m.in. poprzez RWE. Mogę zasadnie przypuszczać, iż skoro „Ewa” cieszyła się zaufaniem Jasienicy, a ten też przekazywał swe protesty do RWE przez Bartoszewskiego, to właśnie tą drogą SB podjęła energiczne, szeroko zakrojone śledztwo przeciw W. Bartoszewskiemu, obejmując nim wszystkie osoby, które się z nim częściej czy w specjalny sposób kontaktowały. Wiadomo mi po śledztwie przeciwko mnie prowadzonym w więzieniu mokotowskim, iż SB umieściła od pewnego momentu (może od 1969 r.?) punkt obserwacyjno–fotograficzny w willi naprzeciw nowego mieszkania Bartoszewskiego (willa jego drugiej żony, Zofii Bachurzewskiej). W śledztwie, gdy przeczyłem mej bliższej znajomości z Bartoszewskim, ukazywano mi kilka moich zdjęć z progu willi Bartoszewskich. Zdjęcia były tylko z roku 1970, bo wcześniej tam nigdy nie byłem. Nb. zawsze starałem się (ciągle przez skórę wyczuwałem jakby

<sup>9</sup> W moich aktach „figuranta”, IPN Bydgoszcz, sygn. 081/267, t. V, s. 94–97, jest obszerna „Notatka operacyjna”, zawierająca polecenie MSW z Warszawy śledzenia mojej osoby w związku z działalnością Władysława Bartoszewskiego.

<sup>10</sup> Wedle relacji Adama G., oficera Departamentu III MSW (por. *Teczki, czyli widmo bezpieczeństwa*, pod red. J. Snopkiewicza, Warszawa 1992, s. 129–131), „Ewa była najważniejszą agentką SB w kołach literackiej opozycji warszawskiej [...] w jej domu zbierali się najważniejsi działacze opozycji, pisarze, dziennikarze. Nam było to na rękę, bo wszystkich mieliśmy na oku”; „«Ewa» [...] znała wielu opozycyjnych działaczy. Była bystra, gorliwa i bardzo pracowita”. Wedle tej relacji jej raporty czytywał nawet sam Władysław Gomułka...

możliwość zainteresowania SB W. Bartoszewskim) nigdy do Bartoszewskiego nie telefonać, ani nie pisać listów, a tylko odwiedzałem go w jego oficjalnym miejscu pracy (Zarząd Główny Stowarzyszenia Bibliotekarzy), wyciągając go na rozmowę „na miasto”. Nic moje ostrożności nie pomogły, także z przyczyny ubocznej: pasierb W. Bartoszewskiego, młody Bachurzewski, był studentem chemii na UW i za udział w wydarzeniach marcowych 1968 r. został wydalony z uczelni. Wielka rozpacz pani Bachurzewskiej i Władysław Bartoszewski zwrócił się do mnie, czy nie mógłbym załatwić studiów Bachurzewskiemu na UMK. Nie tyle ja, bo chemików nie znałem, ile moja żona, dobrze znająca środowisko UMK, dołożyła starań i rzeczywiście p. Bachurzewski został przyjęty w Toruniu na drugi rok (co nie było rzeczą łatwą!) i przez rok chyba studiował w Toruniu, potem wrócił do Warszawy. Nb. nawet mojej żonie za to nie podziękował. Co gorsza, przy załatwianiu tej sprawy, co przecież wymagało czasu, państwo Bartoszewscy parokrotnie, bodaj cztery nawet razy do nas dzwonili jesienią 1969 r. Prawdopodobnie to sobie w Warszawie odnotowano i kiedy, w sposób mało moim zdaniem zręczny, w 1969–1970 r. pojawiły się w RWE informacje o skandalicznych praktykach UMK (chodziło m.in. o słynny doktorat czołowego „żydożercy”, quasi-ideologa grupy moczarowskiej, Tadeusza Walichnowskiego i inne sprawy), SB zaczęła widzieć we mnie autora tych informacji z Torunia, wiążąc moje spotkania z Bartoszewskim czy jego telefony z tą sprawą. Niewątpliwie część tych informacji o sprawach toruńskich czy gdańskich pochodziła z moich rozmów z Bartoszewskim.

W rezultacie, co dziś wiem dzięki badaniom Pawła Machcewicza, informacje z Torunia zwróciły uwagę SB na moją osobę gdzieś koło wiosny 1970 r. (?). Ostatecznie, i tu są już bogate materiały w mojej „teczce”, których fragment zacytuje<sup>11</sup>, MSW z Warszawy poleciło organom SB Bydgoszcz–Toruń wzięcie także i mnie pod ścisłą obserwację. Podjęto decyzję o wprowadzeniu podsłuchu do mego mieszkania i mego gabinetu na UMK, a skoro dowiedziano się, że mam jechać na kongres do Francji w maju 1970 r., nakazano inwigilację osoby, sprawdzanie bagażu na Okęciu itd. O tym wszystkim oczywiście nie wiedziałem, a kiedy poinformowałem Władysława Bartoszewskiego, że mam jechać do Francji, ogromnie się ucieszył, zaproponował natychmiast, że zorganizuje moje spotkanie z Żenczykowskim w Paryżu przez swoje kanały. Prosił oczywiście o przekazanie wielu prośb i informacji ważnych dla Żenczykowskiego. Wtedy to nasze ostatnie przed wyjazdem spotkanie miało miejsce już w jego willi i była przy nim obecna pani Zofia. Dodam, że moja żona nigdy nie była przeze mnie informowana o moich kontaktach z RWE, a całą prawdę dowiedziała się dopiero po roku 1989!

Zdawałem sobie zawsze sprawę z tego, że wyjazdy na Zachód są szczególnie na Okęciu kontrolowane i stąd starałem się nigdy nie mieć w bagażu ani przy sobie żadnych trefnych tekstów. Przyjąłem metodę, wydawałoby się bezpieczną (zawiodła niestety w 1970 r. we wrześniu, ale tego nie mogłem przewidzieć), iż niektóre polecenia pana Władysława — daty, nazwiska czy telefon — notowałem w czasie rozmowy z nim, potem sobie parę razy powta-

---

<sup>11</sup> W t. I akt moich wyżej cytowanych, s. 137 n., znajduje się obszerny dokument pt. „Plan operacyjnych przedsięwzięć do sprawy operacyjnego rozpracowania kryptonim «Pewnik», datowany w Bydgoszczy 12 VI 1970 r., który zawiera streszczenie informacji na mój temat (krakowskich i warszawskich) oraz decyzje o podjęciu działań operacyjnych przeciwko mnie m.in. z wykorzystaniem aż 4 tajnych współpracowników na UMK, podsłuchu pomieszczeń, inwigilacji korespondencji, podsłuchu telefonicznego, obserwacji towarzyszącej, także objęcia inwigilacją rodziny (matka, żona, brat w Gdańsku). Nota na s. 146–147 stwierdza, iż z dniem 20 VI 1970 r. założono nawet podsłuch w moim gabinecie na Wydziale Prawa i Administracji UMK.



rzałem ku pamięci, a na Okęciu, przed pójściem do kontroli celno–paszportowej, udawałem się do ubikacji i tam notatkę skrupulatnie niszczyłem. Tak też było tym razem.

Po przylocie do Paryża zadzwoniłem na podany mi telefon do Mariana Czarnckiego, który zawiózł mnie do hotelu, dostarczył maszynę do pisania (zrobiłem kilka uwag na piśmie dla RWE), rozmawiałem też przez telefon z Żenczykowskim i umówiliśmy się w Paryżu, kiedy będę wracał z kongresu w Tuluzie. Bardzo miło wspominam moje kontakty z płk. Czarnckim (żołnierz gen. Maczka), a po powrocie do Paryża spotkałem się z Żenczykowskim, przegadaaliśmy chyba półtora dnia.

Nb. zanotuję zniemienny szczegół, iż — niestety — panowie z dużym doświadczeniem z Armii Krajowej nie przestrzegali nadmiernie zasad ścisłej dyskrecji. Otóż miły mi Tadeusz Żenczykowski poinformował mnie, że w Paryżu jest teraz także inna wysłanniczka Bartoszewskiego, p. Ewa Dreżypolska, która zorganizowała — jak mi powiedział — przygotowanie mojej podróży do Paryża. Ja jej nigdy na oczy nie widziałem, parokrotnie o niej Bartoszewski wspominał, co także uważałem za zbyteczne. Otóż Żenczykowski powiedział mi, że spotyka się następnego dnia z Dreżypolską i proponuje spotkanie we trójkę. Ja odmówiłem, nie widziałem celu mnożenia naszych spotkań ponad konieczność. Nb. to właśnie p. Ewa Dreżypolska, bohaterska łączniczka z czasów wojny i chyba WiN–u, więziona przez kilka lat przez UB, namierzona dokładnie teraz przez SB, ponieważ była jedyną znajomą W. Bartoszewskiego, która często (nie wiem dlaczego, chyba ze względów rodzinnych) wyjeżdżała w latach 60. na Zachód, kiedy została aresztowana na 48 godzin (?) przed moim aresztowaniem, a niestety była „od a do z” zorientowana w mojej współpracy z W. Bartoszewskim, załamała się po niespodziewanym aresztowaniu i bodaj wszystko, co wiedziała, ujawniła, a w jej mieszkaniu znaleziono niepotrzebnie dużo kompromitujących W. Bartoszewskiego, ale i inne osoby, materiałów<sup>12</sup>. Nb. rzecz trochę niepoważna, ale dopiero w śledztwie dowiedziałem się, że posiadam w środowisku W. Bartoszewskiego (w jego tajnej korespondencji z RWE) pseudonim, wybrany dość niefortunnie i to poza moją wiedzą. Otóż w korespondencji W. Bartoszewskiego, którą od pewnego czasu przynajmniej częściowo przechwytywało i studiowało SB, występowałem zakodowany jako „Łosoś”! Nie wiem do dziś, czy mniej już prymitywni oficerowie wywiadu SB (wszyscy już byli jednak przeważnie po studiach) sami doszli do tego, czy

<sup>12</sup> Nb. w moich aktach w SB (t. II, s. 73) znajduje się notatka służbowa sporządzona w Warszawie 20 IX 1970 r. (a więc przed moim aresztowaniem), która omawia szczegółowo mój pobyt we Francji w maju, jego cel — współpraca moja z RWE. Ja o tych sprawach nikomu w Toruniu nie mówiłem. Wiadomości takie mogły jedynie tą czy inną drogą pochodzić z warszawskiego otoczenia W. Bartoszewskiego, być może z podsłuchu naszej rozmowy w Warszawie po moim powrocie, w jego willi.

W aktach tych (t. II, s. 106) znajduje się Decyzja Dyrektora Biura „B” MSW z 29 maja 1970 r. „o przeprowadzeniu tajnej penetracji bagażu i rzeczy osobistych S. Salmonowicza, kiedy przyjedzie 30 maja do hotelu ZNP przy ul. Spasowskiego, oraz wzięcia go pod obserwację w czasie pobytu w Warszawie”. Mój bagaż był przecież „politycznie czysty”. Jedyna rzecz, której potrzebowałem w Paryżu, tj. telefon płk. Mariana Czarnckiego, miałem zaszyfrowany w kalendarzyku w sposób nie do odkrycia przez kogokolwiek. W tej Decyzji z 29 maja jest także wzmianka, której roli do dziś nie rozszyfrowałem, brzmi tak: „Nadmieniam jednocześnie, że za St. Salmonowiczem prowadzona jest również obserwacja przez Wydz. III Waszego Biura, gdzie występuje pod krypt. «Swat»”. Czy to oznacza, że równocześnie dwa pionierzy MSW interesowały się moją skromną osobą? Dnia 1 VI 1970 r. (tamtę notatką, s. 107) MSW stwierdza: „Posiadamy sprawdzone informacje, że od dnia 19 do 25 maja planował przeprowadzenie rozmów na terenie Londynu i Rzymu z przedstawicielami radia «Wolna Europa»”. Mniejsza o ścisłość tych informacji, ale skąd one się wywodziły?

dopiero powiedziała im o tym p. Dreżypolska, w każdym razie tak czy inaczej ustalili bez trudu, że łosoś to po angielsku *salmon*... Kiedy w śledztwie zapytano mnie niewinnie, czy znam angielski, a ja odpowiedziałem, że znam, zaczęto mnie indagować o nazwy ryb po angielsku i padło pytanie o łososa. Domyśliłem się, o co tu chodzi, i w duchu wściekły na taki brak warszawskiej wyobraźni powiedziałem, że co do ryb, to w Anglii dotąd nie byłem, więc nie mam doświadczeń z restauracjami angielskimi, zresztą nawet i po francusku nie wiem, jak nazywa się łosoś!

Po powrocie do kraju w maju 1970 r., kiedy zobaczyłem się z W. Bartoszewskim, poinformowałem go, że mam szansę wyjazdu na kongres historyków prawa niemieckiego do Salzburga i chętnie bym się spotkał przejazdem w Wiedniu z Żenczykowskim, ale musieliby mi załatwić na dobę hotel, bo nie mam dewiz na takie cele. Bartoszewski bardzo się tym zainteresował i umówiliśmy się, że w lipcu przyjadę do Warszawy uzgodnić szczegóły. Tymczasem, jak wynika z mojej „teczki”, byłem już wówczas, podobnie jak całe otoczenie Bartoszewskiego, pilnowany na okrągło. Wkrótce wiedzieli, że mam lecieć do Wiednia. W lipcu (?)<sup>13</sup> przyjechałem do Warszawy służbowo i umówiłem się z Bartoszewskim. Dość przypadkowo przyjechał także służbowo mój brat Jerzy z Gdańska. Obaj mieszkaliśmy służbowo w hotelu ZNP. Spotkaliśmy się więc rano we dwójkę z Bartoszewskim (nie informowałem brata o moich sprawach z Bartoszewskim, a jedynie, że go poznam z tak znanym człowiekiem). Nasze spotkanie w „Złotej Kaczce” (tak się nazywała restauracja koło Tamki) było, jak dziś wiem z akt, w całości monitorowane przez SB. Bartoszewski był ogromnie ciekawy opowiadań mojego brata o sytuacji na Wybrzeżu i zaproponował, że spotkamy się jeszcze na obiad w Klubie Architekta. Rzeczywiście się tam spotkaliśmy, ale i z żoną pana Władysława, która rozmawiała długo z moim bratem. Ja głównie z Bartoszewskim akurat o sprawach historycznych. Wcześniej już mi powiedział, że wszystko będzie w Wiedniu załatwione i uzgodniliśmy, iż w dzień wyjazdu (samolot miałem o godzinę później, bodajże o 21) przybędę rano do Warszawy i z miejsca przyjadę do nich na kawę. Ta rozmowa mojego brata przy obiedzie bardzo mu zaszkodziła. Odtąd wzięty podobnie jak i ja pod ścisły nadzór SB w Gdańsku, po moim aresztowaniu został zatrzymany na 48 godzin, a podczas przesłuchania posługiwano się dokładną treścią rozmowy brata z p. Zofią. Ostatecznie jednak po rewizji u niego w domu, która nic nie dała, został zwolniony, choć parokrotnie był później przesłuchiwany. Przeszedł wcześniej z trudnościami z Politechniki, mimo wybitnych fachowych umiejętności, do Morskiego Instytutu Rybackiego, z którego musiał także odejść na przymusową emeryturę, jako działacz „Solidarności”, represjonowany w momencie stanu wojennego.

Ja dwukrotnie spokojnie wróciłem z Warszawy do Torunia, nie da się zaprzeczyć, iż nie zauważyłem inwigilacji, której byłem poddany, ale na moje usprawiedliwienie powiem, że nikt z doborowych konspiratorów w środowisku Bartoszewskiego nie zauważył, że przynajmniej od zimy 1970 r. są wszyscy „monitorowani”, zwłaszcza Danuta Bańkowska, długoletnia przyjaciółka Bartoszewskiego, i Ewa Dreżypolska w związku z jej częstymi wyjazdami zagranicznymi. Nadmieniam, iż nigdy nie pytałem się o to, kto współpracuje z Bartoszewskim, dopiero w śledztwie pytano mnie o rolę Józefa Rybickiego, o jakiegoś fotografa, o Kazimierza Ostrowskiego z Krakowa i jakieś inne osoby, których nie pamiętam i których w ogóle nie znałem. W istocie, W. Bartoszewski ujawnił mi w lipcu 1970 r. tylko jedną drogę swoich kontaktów, bo chciał, bym ja miał w tym udział na przyszłość. Chodziło

<sup>13</sup> W istocie byłem w Warszawie dwa razy, w lipcu i 15 września przed moim feralnym, nieudanym wyjazdem. Spotkanie z bratem miało miejsce raczej dopiero 15 września.

tu o wykorzystywanie przez Bartoszewskiego jego dobrych kontaktów z ambasadą austriacką i w ogóle z Austriakami. Nb. ten trop SB także dawno już znała, bo w śledztwie mnie o to szczegółowo wielokrotnie męczyli. Ja zaślaniałem się całkowitą niewiedzą, przyznając jedynie ten fakt, który oni znali ze śledzenia mnie w lipcu. Otóż W. Bartoszewski polecił mi, wiedząc, że zajmuję się historią Austrii w XVIII w., bym odwiedził kierownika „Czytelni Austriackiej” (mieściła się koło Świętokrzyskiej), dla nawiązania kontaktów naukowych (rzeczywiście chodziło mi także o sprowadzenie pewnych książek naukowych z Wiednia), a wizyta moja miała na celu otworzenie drogi dla mnie jako specjalście spraw austriackich do uzyskania jakiegoś wyjazdu do Wiednia, co W. Bartoszewski zobowiązywał się załatwić (o ile pamiętam przez dr. Skalnika, który był chyba bliskim współpracownikiem prezydenta Austrii). Wizytę tę odbyłem, SB dokładnie mi ją zrelacjonowała, nb. przesłuchali w tej kwestii wprawdzie nie Austriaka, szefa tej czytelni, ale Polkę, która była tam bibliotekarką i złożyła wyjaśnienia co do mojej wizyty. Ja oczywiście twierdziłem, że jedynym moim celem była próba pożyczania kilku książek historycznych.

Dlaczego o tym tak obszernie piszę? Chodzi o to, byśmy sobie zdawali sprawę z klimatu epoki, metod SB, a także i z faktu, iż grono osób, które uprawiały taką czy inną działalność quasi-dysydencką, czy quasi-nielegalną po roku 1956, nie zdawały sobie jednak dostatecznie sprawy z tego, że SB — dysponując kontrolą poczty, telefonu, zakładając liczne podsłuchy, śledząc ruch pasażerski na Zachód, a wreszcie, niekoniernie na ostatnim miejscu, wykorzystując licznych tajnych współpracowników wokół prominentnych opozycjonistów typu Antoni Słonimski, Paweł Jasienica, Konwicki, Andrzejewski czy też Stefan Kisielewski lub sam Bartoszewski, po mozolnej tej pracy, pod koniec ery Gomułki i na tle kryzysu 1968 r. — wiedziała sporo, a gros tych osób, o które chodziło, bagatelizowało, zwłaszcza przy wódcę, zagrożenia. Być może, niektórzy, jak Stefan Kisielewski, co widać z jego *Dzienników*, pozwalali sobie na wiele, zwłaszcza w podróżach zagranicznych, a kłopoty, jak z tego widać, spadały na „szaraków opozycyjnych” — na „taterników”, Dreżypolską czy Salmonowicza... W ten sposób łatwiej było wmawiać Zachodowi liberalizm Gomułki, a zwłaszcza potem liberalizm Gierka, a w sumie społeczeństwo i tak, zwłaszcza na prowincji, otrzymywało jasny sygnał: to, co wolno paru osobom w Warszawie, nie jest możliwe w Toruniu, Gdańsku czy Wrocławiu...

Pisząc moje wspomnienia, nie znam akt SB warszawskich, gdzie, być może, zarejestrowano poszczególne stadia rozpracowania i decyzji w sprawie działań w stosunku do środowiska wokół Władysława Bartoszewskiego. Co do mnie, kiedy przysłyły dyrektywy z Warszawy do Bydgoszczy od wiosny 1970 r. szczegółowego rozpracowywania mojej osoby, to w aktach jest już wspomniany ważny dokument SB bydgoskiego z 12 VI 1970 r. pt. „Plan operacyjnych przedsięwzięć do sprawy operacyjnego rozpracowania kryptonim «Pewnik»”. (Nb. w aktach nie znalazłem, niestety, wyjaśnienia, dlaczego moje inwigilowanie określono kryptonimem „Pewnik”, Zapewne dlatego, że z analizy zgromadzonych materiałów na mój temat, z Krakowa, Warszawy i Torunia, wyciągano wnioski, iż od urodzenia niemal byłem wrogiem PRL). Zgromadzono tu wszystkie dotychczasowe zarzuty pod moim adresem, w tym pewną ilość nieprawdziwych, jak w zdaniu: „Przewoził prawdopodobnie do Kultury Paryskiej list otwarty Kuronia i Modzelewskiego oraz list od Bora-Komorowskiego dla swojego wuja Muzyczki”. Chętnie bym się oczywiście pochwalił już ówczesną współpracą z Kuroniem i Modzelewskim, ale tego akurat nie zrobiłem...

Przed przejściem do decyzji „operacyjnych” sformułowano ogólne, najważniejsze zarzuty: „Mimo braku dotąd bliższych danych dotyczących jego działalności na rzecz tych ośrodków [tj. wrogiej emigracji — przypis mój — S. S.] wiadomo, z materiałów uzyskanych

z Departamentu II-go, że figurant pracuje w siatce kierowanej przez Bartoszewskiego, która od kilku lat zbiera, opracowuje i przekazuje materiały do RWE". Warto może dodać dla potomności, iż obok działań „technicznych” (rozbudowa podsłuchów, obserwacja osoby „przez cały czas”, kontrola korespondencji, „zdobycie klucza do mieszkania” [!, klucz jest w aktach IPN w Bydgoszczy!]), wykorzystania urlopu figuranta dla przeszukania mieszkania, podsłuchu telefonicznego mieszkania teściowej, obserwacji żony, a zwłaszcza szczegółowego rozpracowania mojego brata Jerzego w Gdańsku (w związku z czym SB przekwalifikowała jego „teczkę” z łagodnego kryptonimu „rewizjonista” na operacyjny dozór stały nad moim bratem, zastosowała także podsłuchy, przeszukanie w domu w czasie urlopu itd., itd.), postanowiono uruchomić do akcji wszystkich tajnych i operacyjnych współpracowników na UMK.

Dwie niewinne pocztówki od Władysława Bartoszewskiego z lata 1970 r., które jednakże sugerowały nasze szybkie spotkanie w Warszawie, nie mogły pozostać w tej sytuacji niezauważone.

W każdym razie ostatecznie SB w Warszawie zainteresowała się moją osobą dlatego, że Władysław Bartoszewski parokrotnie do mnie telefonował, a przecież jego telefon od dawna był na podsłuchu. Mój telefon w Toruniu nie był wcześniej na podsłuchu, ale jak wynika z moich akt w IPN, 11 V 1970 r. SB toruńskie na życzenie Wydziału II Departamentu III MSW wyjaśnia, że Władysław Bartoszewski telefonował na numer 222-49, który należy do doc. Salmonowicza. Od tego momentu MSW tropiące kontakty Władysława Bartoszewskiego zainteresowało się moją osobą i zażądało bliższych informacji, a potem wzięcia mnie pod stałą obserwację. Warto może dodać, iż w wiele miesięcy po moim aresztowaniu i wielkiej sensacji w Toruniu wokół tej sprawy jeden z szefów miejscowej SB w rozmowie z którymś z toruńskich prawników dawał do zrozumienia, iż nie byli oni w Toruniu tą sprawą zachwyceni, ponieważ mogła świadczyć o tym, iż nie zauważyli mojej „wrogiej działalności”... Stąd był skłonny po umorzeniu sprawy przez Warszawę raczej ją minimalizować<sup>14</sup>.

Zrekapitulujmy: SB wiedziało ogólnie o współpracy Władysława Bartoszewskiego z RWE od lat, wiedziało o podróżach przynajmniej samej Dreżypolskiej, ale i Bartoszewskiego, wiedziało o jego kontaktach z ludźmi w Warszawie i poza Warszawą<sup>15</sup>. W istocie, już w czasie mojej podróży do Francji w maju 1970 r. orientowało się generalnie w całości sprawy. Jakie

<sup>14</sup> Pewne potwierdzenie zaskoczenia w SB toruńskim moim aresztowaniem znalazłem w moich aktach (t. III, s. 2-7). W sprawozdaniu operacyjnym o wrażeniach, jakie w Toruniu wywołała ta wiadomość, datowanym na 7 X 1970 r. (autorem jest por. Bajefski z SB, „oficjalny” opiekun Wydziału Prawa UMK z ramienia SB), jest charakterystyczny cytat: „Wrażenie jest tym większe, że w prywatnych rozmowach doc. Salmonowicz nigdy nie ujawniał wrogich lub nawet krytycznych nastawień do Polski Ludowej. Można byłoby znaleźć dużą ilość osób, co do których taka opinia [tj. o wrogoci wobec PRL — moja uwaga] byłaby bardziej uzasadniona”. Starłem się oczywiście, także indagowany kiedyś przez owego porucznika SB, udawać całkowicie oderwanego od życia historyka prawa.

<sup>15</sup> W moich aktach (t. II, s. 84-87) jest wiele informacji o W. Bartoszewskim, stanowiących jakby rekapitulację tego, co SB wiedziało o jego działalności w momencie wkroczenia do „akcji”: wykazy kurierów wysyłanych za granicę przez Bartoszewskiego, jego wyjazdów dokładnie obserwowanych. Na podstawie tych wykazów, które generalnie obejmują lata 1966-1970, a dotyczą także kontaktów austriackich W. Bartoszewskiego, można stwierdzić jednak, iż prawdopodobnie nie wszystko wiedzieli. W każdym razie nie wiedzieli o sprawach dotyczących mnie, a w szczególności nic tam nie ma o mojej pierwszej podróży związanej z RWE do Grenoble. O tych kwestiach w czasie śledztwa im oczywiście słowa nie powiedziałem, ale też nie byłem o to pytany. Tak więc można przyjąć z całą pewnością, iż o mojej współpracy z Bartoszewskim dowiedzieli się dopiero w 1970 r. Czy wszystkiemu była winna tylko feralna „Ewa”, żona Pawła Jasiency?

były kolejne decyzje w tych kwestiach, dlaczego odwlekano jakieś „uderzenie”, z moich akt to oczywiście nie wynika, musiały to być moim zdaniem decyzje na bardzo wysokim szczeblu, zarówno z uwagi na znaczenie osób, które były zamieszane w sprawę (żył przecież jeszcze Jasienica, z Bartoszewskim przyjaźnił się Stefan Kisielewski, a sprawy żydowskie może także nakazywały tu pewną ostrożność), jak i może na podejście typowe dla kontrwywiadów, by poczekać jeszcze dla lepszej orientacji w ściganych działaniach. Tak więc nie wiem dlaczego postanowiono przystąpić do akcji dopiero w związku z powrotem do Polski z zagranicy Ewy Dreżypolskiej z jednej strony, i w związku z moim, monitorowanym niestety dokładnie zarówno w Warszawie, jak i w Toruniu, projektowanym wyjazdem do Salzburga via Wiedeń. Na odmianę, akta SB zawierają bardzo istotny i ciekawy dokument na temat mojej osoby. Decyzje oczywiście ostatecznie zapadły w tej sprawie w Warszawie. Akta zawierają datowany na 23 IX 1970 r.<sup>16</sup> (a więc w przeddzień mego zatrzymania w Warszawie) dokument przygotowany przez Departament III, zatytułowany „Raport o zezwolenie na pozyskanie do współpracy”, zatwierdzony do „akcji” przez Zastępcę Naczelnika Wydziału II Departamentu III, dotyczący moich planowanych przez SB losów. Otóż „w oparciu o analizę sprawy operacyjnego rozpracowania krypt. «Olcha» z dnia 27 VII 1970 do planu realizacji planuje się pozyskać do współpracy St. Salmonowicza”. I dalej: „Celem pozyskania jest rozpracowanie Wł. Bartoszewskiego i grupy osób z nim związanych, które zbierają i przekazują materiały do radia «Wolna Europa»”. Kiedy to przeczytałem, zastanawiałem się długo, dlaczego uważano za możliwe, że zgodzę się na coś takiego! Otóż z rozważań SB można wyciągnąć wniosek tylko taki, iż opierając się na informacjach z UMK, uważano, że jestem bardzo dynamicznym i ambitnym uczonym i że wobec postawienia mnie w sytuacji całkowitego załamania mojej kariery naukowej zdecyduję się na współpracę! Warto podać kilka fragmentów tych założeń, których SB nie udało się wobec mojej jednoznacznej postawy zrealizować. Oto fragmenty najważniejsze:

„Zakłada się, że zostanie on zatrzymany w drodze do portu lotniczego. W tym celu w dogodnym momencie podstawi mu się taksówkę Biura «B». W drodze na lotnisko pracownicy operacyjni zatrzymają w określonym miejscu taksówkę «na łebka» i zawiozą kandydata na miejsce pozyskania”.

„Miejscem pozyskania będzie pokój w Biurze Śledczym w gmachu MSW, bądź LK krypt. «Kosmos» w zależności od tego, które miejsce wybierze kandydat. Po przywiezieniu na miejsce rozmowy kandydat zostanie poddany rewizji osobistej”. Następował szczegółowy, parowariantowy „Plan rozmowy”. Oto fragment: „Rozmowa w początkowym stadium prowadzona będzie na temat ostatniego pobytu kandydata za granicą, z której będzie on bardzo szczegółowo rozliczony. Wg posiadanych sprawdzonych danych St. Salmonowicz wyjechał tydzień wcześniej i wrócił trzy dni później, aniżeli wymagał jego oficjalny program pobytu za granicą. W tym czasie miał być w Londynie i Rzymie w celach bliżej nam nieznanymi związanych z radio «Wolna Europa», przekazać miał też pracownikom radia WE materiały na terenie Francji na temat: sytuacji wśród naukowców, emerytur, redukcji kobiet i ograniczenia inwestycji”.

Jeżeli to nie wystarczy, to m.in. „Wykorzystując zdjęcia wykonane przez Biuro «B» (na którym jest Bartoszewski, S. Salmonowicz i jego brat Jerzy), omówi się znajomość Jerzego Salmonowicza z Bartoszewskim”.

Następnie omówiono szczegółowo działanie dalsze w przypadku mojej zgody na współpracę, do czego jednak nie doszło. Tu, sprzedając moje poniższe przedstawienie, jak wyglą-

<sup>16</sup> T. II moich akt, s. 3 i n., 79–83.

dał dokładnie dzień mojego zatrzymania, dodam, że przekonywano mnie początkowo w taksówce po zatrzymaniu przez oficerów kontrwywiadu SB, iż jeżeli wszystko „uzgodnimy vel wyjaśnimy”, to będę mógł bez przeszkód odlecieć samolotem do Wiednia, nawet obiecywali, że samolot „poczeka”!

Ten fragment rozważań nie zawiera jednak żadnych informacji, co mieli zamiar robić w Warszawie wobec środowiska Bartoszewskiego. Tak więc mogę tylko przypuszczać, iż pewne decyzje działania bardziej energicznego zapadły w ostatniej chwili, tj. z jednej strony po aresztowaniu i rozmowach z Ewą Dreżypolską, a z drugiej strony, skoro odmówiłem jakiegokolwiek współpracy w wielogodzinnych przesłuchaniach bezpośrednio po zatrzymaniu, prawdopodobnie rano 25 września zapadły decyzje w MSW o aresztowaniu formalnym trzech osób, tj. także Dreżypolskiej i Bańkowskiej (zatrzymana tej samej nocy co i ja?), a pozostawieniu na wolności Władysława Bartoszewskiego. Jakie były „operacyjne” przesłanki tych ostatecznych decyzji na odmianę moje akta wyjaśnienia nie ofiarują, byłem, trzeba to jeszcze raz chyba podkreślić, mimo mej bogatej opozycyjnej przeszłości, w tej konkretnej sprawie warszawskiej tylko osobą drugorzędną, którą chciano wykorzystać metodami służb specjalnych, co się jednak nie udało i stąd chyba moje późniejsze poważne wieloletnie kłopoty.

Przebieg feralnego dnia 24 IX 1970 r. był następujący. Przyjechałem do Warszawy rano i z miejsca pojechałem do willi Bartoszewskich, tak jak to było uzgodnione. Odbyliśmy długą rozmowę, a ponieważ mój odlot był koło godziny 21.30 (?) i miałem więc sporo czasu, ważniejsze dyspozycje Bartoszewskiego zanotowałem hasłowo na kartce, którą miałem zamiar zniszczyć przed przejściem do kontroli celno-pasportowej na Okęciu. Po rozmowie z Bartoszewskimi zostawiłem bagaż u nich i pojechałem do miasta zobaczyć najnowszy film Wajdy, zjeść obiad i wrócić po południu do Bartoszewskich. Ani oni, ani ja żadnych znaków stałej obserwacji domu i mieszkańców nie zauważyliśmy. Dodam, że, rzecz krzyżowa, pan Władysław poinformował mnie, iż Ewa Dreżypolska miała przylecieć do Warszawy poprzedniego dnia czy wieczoru (dokładnie nie pamiętam godziny jej przylotu) i że do tej pory do niego nie dzwoniła, ale żadną miarą nie wykazywał z tego tytułu jakiegos zaniepokojenia. Na odmianę, poinformował mnie, że Dreżypolska szczegóły co do mojego przylotu do Wiednia dokładnie z Żencykowskim załatwiła, nie wiem, jaką drogą otrzymał te informacje w czasie jej pobytu chyba we Włoszech (?) i przekazał mi nazwę hotelu w Wiedniu, w którym czeka mnie Żencykowski i w którym będę mógł przenocować przed dalszą podróżą do Salzburga. Prawdę mówiąc, ani przez moment nie podejrzewałem, że mogą tu zająć jakieś komplikacje, miałem pełne zaufanie do konspiracyjnej fachowości gospodarza. Wróciłem późnym popołudniem do willi Bartoszewskich. Był także jego pasierb, Bachurzewski, który z czasu pobytu w Toruniu miał ze mną kontakty. Państwo Bartoszewscy udawali się na jakieś przyjęcie, bodaj czy nie do którejś z ambasad, ja zjadłem kolację z Bachurzewskim i pożegnałem się z nim koło chyba godziny 20.15, otrzymawszy informację, że niedaleko jest autobus jadący na Okęcie. Wyszedłem z domu, doszedłem do rogu, gdzie zbiegają się dwie uliczki w tej okolicy, i zobaczyłem, że zza rogu wyjeżdża taksówka oświetlona jako wolna. Miałem ze sobą walizkę i z zadowoleniem pomachałem ręką, taksówka się zatrzymała i pojechaliśmy w kierunku Okęcia. W tych czasach taksówka w Warszawie była czymś bardzo trudnym do zdobycia, nawet na postojach. Rzecz jasna, że była to właśnie taksówka podstawiona przez SB, której funkcjonariusze widocznie cierpliwie obserwowali moment, w którym wyjdę z willi Bartoszewskich i dali taksówce znak do akcji.

Nieraz sobie w różny sposób zarzucałem, dlaczego w tym czy innym momencie nie zauważyłem, że jestem śledzony itd. Ale dlaczego także tego nie zauważył przez około bodaj rok — półtora — nikt w Warszawie...

Kiedy wieczorami w więzieniu na Mokotowie miałem sporo czasu, rozważałem wiele spraw. Całe życie byłem zapalonym czytelnikiem klasycznych powieści kryminalnych, tych, które charakteryzują się nieskazitelną logiką akcji, co u dzisiejszych autorów sensacji jest coraz rzadziej spotykane. Żał wyznać, iż w momencie najodpowiedniejszym, tj. przed wsiadaniem do feralnej taksówki SB, zapomniałem o radzie, której w jednej ze swych powieści A. Conan–Doyle ustami Sherlocka Holmesa udzielił doktorowi Watsonowi: „na postoju dorożek nigdy nie wsiadaj do pierwszej dorożki, może być podstawiona! Najlepiej do trzeciej...”. Warto jednak dodać, iż w ówczesnej Warszawie na „trzecią” taksówkę mógłbym czekać do północy. Obawiam się zresztą, że wiele by to nie zmieniło, bo gdybym wzgardził taksówką w drodze na Okęcie, to wedle innego scenariusza, chociażby już w murach lotniska, funkcjonariusze SB by mnie dopadli. Nb. po latach pozwalałem sobie opowiadać znajomym, że jako pedant, nigdy w życiu się nie spóźniam. Raz tylko spóźniłem się na samolot na Okęcie, ale była to typowa *vis major*, a on był w stopniu kapitana SB...

W drodze nagle taksówka stanęła, taksówkarz coś wymamrotał, że podwiezie ludzi przy okazji na Okęcie. Wsiadło dwóch panów po cywilnemu, taksówka ruszyła, a oni ujawnili się wobec mnie jako oficerowie SB. Oświadczyli, że wszystko o mnie wiedzą, że jednak uważają, iż jestem zamieszany w te sprawy ubocznie, że nie chcą mi łącać „kariery naukowej” i że proponują wyjaśnienie całej sprawy w rozmowie nieoficjalnej, może w hotelu, że jeżeli się zgodzę, to po takiej rozmowie nie widzą przeszkód, bym odleciał do Wiednia, gotowi są nawet zatroszczyć się o samolot, który może na mnie „poczekać”. Byłem zupełnie zaszokowany tą nagłą sytuacją, ale z miejsca przyjąłem postawę, której uczył mnie Ludwik Muzyczka: żadnych rozmów nieoficjalnych z SB, żadnych wyjaśnień, odmawiać, przeczyć i czekać, co będzie dalej. Oświadczyłem więc, że żadnych poleceń W. Bartoszewskiego nie przewożę, że jadę prosto z dworca i żadnej wizyty u Bartoszewskiego dziś nie składałem, że nie poczuwam się do żadnych działań nielegalnych. Po ostrej wymianie zdań i różnych groźbach z ich strony zostałem w rezultacie zawieszony do MSW na Rakowieckiej i tam przeprowadzono rewizję osobistą, znaleziono tę karteczkę, której w żaden sposób nie mogłem się pozbycić i nadal podjęto namawianie do „prywatnego” wyjaśnienia całej sprawy, szermując ciągle argumentem, że to jedyna szansa dla mnie wyjścia cało ze sprawy. Operowali przy tym coraz nowymi faktami, które świadczyły, jak wiele wiedzą. Ja natomiast w ramach formalnego protokołowanego przesłuchania (nie mam tego tekstu w aktach, jak generalnie moich przesłuchań ze śledztwa) przedstawiłem absurdalną wersję dnia 24 kwietnia: nie byłem u p. Bartoszewskiego, bagaż zostawiłem na dworcu, byłem w kinie (to było prawda), byłem w restauracji na obiedzie, potem w kawiarni (co było nieprawdą) i rzekomo wsiadłem do taksówki na Dworcu Głównym. Oni dawali mi do zrozumienia, że dokładnie wiedzą, co robiłem tego dnia, ale nie ujawnili, że taksówka była ich taksówką podstawioną koło domu Bartoszewskiego, a ja uparczywie twierdziłem, że wsiadłem do niej na Dworcu. Oczywiście wiedziałem już, że oni wiedzą, że mówię nieprawdę, ale udawałem Greka i tu muszę, uprzedzając dalszy bieg wydarzeń, zaakcentować, że przy wszystkich moich kolejnych przesłuchaniach śledczych i prokuratorskich aż po połowę listopada bez przerwy powtarzałem moją pierwotną absurdalną wersję dnia 24 września. Natomiast co do p. W. Bartoszewskiego przyznawałem jedynie, że znam go ze wspólnych zainteresowań historią Armii Krajowej oraz załatwiania dla pasierba miejsca na studiach na UMK, ale nic nie wiem o żadnej współpracy Bartoszewskiego z RWE, sam też nigdy nie współpracowałem z RWE, nie wiem, kto to jest Zawadzki czy Żenczykowski, itd., itd.

Po nocnym przesłuchaniu zdrzemnąłem się na krześle w zimnym pokoju kilka godzin, ale obudzono mnie chyba o siódmej rano, coś dano do jedzenia i po kolejnej wersji przesłuchania

panowie oficerowie (był to, o ile dobrze rozumiałem bieg spraw, cały czas pion operacyjny, a nie śledczy i oni dopiero postanowili mnie przekazać normalnej procedurze śledczej) powiedzieli, że przekazują mnie do kompetencji KW MO stołecznej w Warszawie. Zostałem przewieziony do słynnego Pałacu Mostowskich i po kolejnej próbie przesłuchania umieszczony, było chyba popołudnie, w areszcie w podziemiach tego „Pałacu”. Prawdopodobnie chcąc mnie „skruszyć”, umieszczono mnie w celi z drobnymi kryminalistami, cela była wręcz odrażająca: żadnych sprzętów ani łóżek, jakiś jakby bartóg wspólny, w celi chyba z 10 osób. Traktowanie przez personel bardzo brutalne. Tam spędziłem noc, właściwie chyba nic nie jadłem. Dla więźniów celi byłem czymś egzotycznym: w ubraniu w miarę eleganckim, traktowano mnie, trzeba przyznać, dość delikatnie, tylko jeden młodzian, pełen troskliwości, usiłował wy badać, dlaczego mnie zatrzymano, na co odpowiadałem niejasnymi półsłówkami, dając do zrozumienia, że chodzi o jakieś nieporozumienie, którego nie rozumiem. Następnego ranka, tj. 26 IX 1970 r., zostałem zaprowadzony do słynnej z procesów politycznych prokurator Pancer, która usiłowała zastraszyć mnie ostrym zachowaniem. Powtórzyłem w całości wersję poprzednią, oskarżenia odrzuciłem jako całkowicie niesłuszne. W rezultacie jednak zostałem formalnie aresztowany decyzją prokuratorską na trzy miesiące, sfotografowany do kartoteki przestępców (to też miało jakoś mnie podłamać)<sup>17</sup> i zawieziony ostatecznie do więzienia śledczego na słynny „Mokotów”<sup>18</sup>. Tam po formalnościach wszelakich znalazłem się w trzysobowej celi: jednym z moich towarzyszy okazał się Stefan Niesiołowski, przemity, wybitny człowiek, który należał do ścisłego kierownictwa dość naiwnej katolickiej organizacji podziemnej „Ruch”. W śledztwie bardzo się stawał i był bardzo ostro traktowany, chyba przez pierwszy miesiąc byliśmy razem. Nie mówiąc niczego godnego uwagi o naszych sprawach (ich śledztwo zmierzało jednak ku końcowi i on powiedział mi kilka ogólnych informacji o wpadce „Ruchu” na tle „Lenina w Poroninie”, bo to wszystko władza już dokładnie wiedziała), rozmawialiśmy wiele na tematy filozoficzne, historyczne czy literackie. Drugim lokatorem, z miejsca podejrzanym (i słusznie!), że będzie kapusiem, był dziwny człowiek, niegłupi niewątpliwie, który przedstawiał się nazwiskiem... Henryk Sienkiewicz,

<sup>17</sup> W aktach (t. VII, s. 1–4) znalazło się dopiero pierwsze moje autentyczne oficjalne przesłuchanie w Pałacu Mostowskich przez oficerów MO z dnia 27 IX 1970 r., w którym generalnie nadał dokładnie podtrzymałem swoją pierwotną wersję, negując wszystkie zarzuty o współpracy z RWE.

<sup>18</sup> Nie da się zaprzeczyć, iż umieszczenie mnie na słynnym „Mokotowie”, gdzie latami byli męczenni, czy nawet pozbawieni życia członkowie mojej rodziny (ppłk Kazimierz Gąsiorowski — „Edyta”, czołowy działacz kontrwywiadu Delegatury Rządu na Warszawę, został praktycznie zamordowany w czasie śledztwa, oficjalnie zmarł na atak serca) nastroiło mnie niezwykle melancholijnie, ale bynajmniej nie ugodowo — wbrew oczekiwaniom oficerów śledczych — daleko mi było do myśli kapitalanckich. Trzymałem się twardo następujących zasad, które winny były wszystkim „dysydentom” przyświecać: 1. Nie wchodzić w żadne nieformalne układy z SB i niczego im nie podpisywać, nie wierząc żadnym ich obietnicom, wiedziałem dobrze jako historyk AK, czym się kończyły obietnice dawane „Radosławowi”, Janowi Rzepeckiemu, gen. Tatarowi czy E. Malesie. 2. Przeczyć nawet notoryjnym faktom, nawet jeżeli oni wiedzą dokładnie, w jakim zakresie uporczywie kłamię lub zaprzeczam. 3. Oslaniać w ewentualnych wyjaśnieniach osoby trzecie, a co do siebie w każdym razie unikać przyznawania faktów skutkujących odpowiedzialnością karną w PRL. 4. Jeżeli śledztwo zbliża się ku końcowi i wiem w miarę jasno, co wie druga strona, mogę przyznać pewną ilość faktów im wiadomych nie dzięki mnie, tworząc równocześnie w miarę prawniczko spójną, własną wersję wydarzeń znanych drugiej stronie, a nic nie mówić o sprawach, których oni nie wiedzą... Tym zasadom pozostałem wierny do końca śledztwa. Mam jednak, niestety, wrażenie, iż z osób zamieszanych w tę sprawę tylko obok mnie w pełni trzymał się tych zasad ppłk Józef Rybicki, dobry mój znajomy.



był on naprawdę czy rzekomo naprzód oficerem lotnictwa, potem reporterem „Polityki”. Nie przeczył, że jako ów rzekomy reporter, czy udający reportera, robił jakieś lewe interesy na prowincji, czego rezultatem był proces i wyrok. Nie ukrywał więc, że jest już skazany, ale mętnie informował, że siedzi tutaj jako świadek do innych procesów, w które jest zamieszany, i rzeczywiście niemal co dnia był wywoływany na „śledztwo”. Oczywiście siedział w celi głównie dla wypytywania mnie. Otóż stwierdzam (a w mojej relacji do akt SB w IPN Bydgoszczy dokonałem szczegółowej analizy fałszywek przez niego produkowanych jako rzekome moje zwierzenia), iż do momentu, kiedy w połowie listopada przyznałem pewne fakty związane z podróżą do Wiednia (tylko co do Wiednia, nic co do poprzednich podróży), to w celi ani rzekomemu Sienkiewiczowi, ani nikomu innemu niczego godnego uwagi na temat mojej działalności czy działalności Bartoszewskiego nie powiedziałem. Operowałem cały ten czas informacją, że czepiają się mnie w śledztwie o moje znajomości, niewielkie, w kręgach literatów warszawskich, a ja z tymi zarzutami, które są przeciw różnym osobom w Warszawie podnoszone, nic wspólnego nie mam, chce mi się zarzucać współpracę z RWE, a ja nigdy z tą instytucją niczego wspólnego nie miałem. Tak więc fałszywki Sienkiewicza są „projekcjami” wiedzy oficera śledczego i moim zdaniem pisywał je oficer śledczy sam, skoro Sienkiewicz niczego ciekawego na mój temat nie mógł przekazać<sup>19</sup>. Rozmowy w celi — nieuniknione, jeżeli całe popołudnie nikt już nie idzie na śledztwo i można tylko ewentualnie czytać książki (co też całymi godzinami robiłem) bądź, *volens volens*, o czymś z współwięźniami rozmawiać. Starałem się trzymać wyłącznie tematów niezwiązanych ze śledztwem. Stąd wszystkie rzekome rewelacje agenta celnego (pierwsza już chyba z 30 września), kiedy ja dzień po dniu powtarzałem śledczemu moje absurdałne nieprawdziwe wyjaśnienia o moich kontaktach z Bartoszewskim, a o moich kontaktach z Żenczykowskim, do końca śledztwa, włącznie do ostatniego przesłuchania u prokurator Pancer, twierdziłem, że nie wiem, kto to jest Żenczykowski, że nie wiem o tym, by znajomy Bartoszewskiego o nazwisku Zawadzki jest rzekomo tożsamy z Żenczykowskim, były bezpodstawne. Dlaczego tak się do końca przy tym upierałem: otóż, choć nie miałem złudzeń co do wymiaru sprawiedliwości w PRL, chciałem moją ewentualną obronę w procesie oprzeć generalnie na fakcie, że mój

---

<sup>19</sup> W aktach SB (t. IV, s. 67–68) jest dokument stanowiący jakoby podsumowanie dotychczasowego śledztwa, z datą 21 X 1970 r., w którym co do mnie stwierdzono, że ja nadal wszystkiemu przeczę i nadal zaprzeczam, bym w dzień wyjazdu widział W. Bartoszewskiego. Żadnej tu wzmianki o rzekomych moich „konfidencjach” do agenta w celi. Nb. z jednej strony ów agent „Janek” rzekomo wszystko już wie o mnie w początkach października, a kiedy zostałem przeniesiony do innej celi, inny agent o pseudonimie „Skryba” (t. V akt, s. 58 n., 65 n.) przekazuje donosy, tym razem moim zdaniem zgodnie z prawdą, a mianowicie żali się, iż niczego nie może się dowiedzieć na temat mojej sprawy z rozmów ze mną. Już po moich częściowo prawdziwych wyjaśnieniach z połowy listopada nadal zachowuję dyskrekcję w celi i „Skryba” 29 listopada (!) pisze dosłownie: „Salmonowicz jak dotychczas nie używa w rozmowach żadnych nazwisk swoich znajomych i o swojej sprawie mówi tylko ogólnikowo”. Nawet 3 grudnia „Skryba” nie miał nic do raportowania poza stwierdzeniem: „Samo dyskutowanie nie jest karalnym, powiedział Salmonowicz a ja nie mogłem wiedzieć o tym, że mój znajomy przekazuje te informacje na Zachód”. Doniesienia natomiast „Janka”, jeszcze z pierwszych dni po moim aresztowaniu, zawierają ogromną ilość faktów, z których część jest prawdziwa, ale pochodziła z wiedzy oficera śledczego, a część jest np. nieścisła (informacje o moim ojcu, o prof. S. Stommie, o moich profesorach na UJ, o moim pobycie w Paryżu), bo była kompilowana z informacji SB, zawierając nawet informacje, których ja w ogóle nie znałem (np. o Stefanie Kisielewskim), bądź których nie miałem żadnego interesu konfabulować. Stwierdzam więc kategorycznie (co udowodniłem w mojej analizie w aktach IPN w Bydgoszczy), że donosy „Janka” w ogóle nie opierają się na żadnych moich informacjach.

wyjazd do Wiednia, uzgodniony prywatnie z pomocą Bartoszewskiego dla zatrzymania się w Wiedniu, nie miał jednak nic wspólnego z jakąkolwiek współpracą z WE<sup>20</sup>. Chciałem uparczywie twierdzić, że nie można „współpracować nieświadomie”, i jeżeli oni twierdzą, że Bartoszewski współpracował z WE, to ja nigdy nie wiedziałem i potwierdzić tego nie mogę, że przyjaciel Bartoszewskiego Zawadzki to tylko, wedle nich, przedstawiciel WE nazwiskiem Żenczykowski, ja o tym nic nie wiem, sądziłem, że spotykam przyjaciela Bartoszewskiego, przy okazji przekazuję mu kilka plotek czy próśb Bartoszewskiego, których nie traktowałem jako coś nielegalnego, ale jako zwykłe towarzyskie plotki kulturalno-polityczne, i nic mi nie wiadomo, by miała je wykorzystywać WE. Taka linia obrony, przyjęta jednak przeze mnie już po wyjściu z celi Sienkiewicza (czyli jego wszystkie doniesienia były wyssane z palca, m.in. na temat mojego ojca, na temat Stommy, o którym w ogóle nigdy nic nie mówiłem nikomu, itd.), miała na celu dwie rzeczy: po pierwsze, ani razu nie chciałem przyznać, iż cokolwiek wiem o działalności nielegalnej W. Bartoszewskiego. W ten sposób formalnie niczym go nie obciążałem. Po drugie, oczywiście, usiłując prawnie zabezpieczyć sobie jakąś linię obrony, stale podkreślałem moją nieświadomość jakichkolwiek i czyichkolwiek związków z RWE. Jako prawnik twierdziłem, że nie można nieświadomie „współpracować”, nie mogłem „przekazywać wieści szkalujących PRL”, jeżeli nie wiedziałem, że Zawadzki to Żenczykowski...

Tak więc wyglądała moja generalna, dwuliniowa polityka śledcza: do 15 listopada wiedziałem w zasadzie, co oni wiedzą, po 15 listopada okopałem się tylko w kwestii Wiednia, resztę nadal negując. Czy ta linia miała szansę wobec sędziów PRL — można wątpić, ale była to linia, która w miarę możliwości nikomu nie szkodziła!

Jaką wagę przykładano do dokładnego „rozpracowania” mojej osoby, może z uwagi na wujka Ludwika Muzyczkę (?), niech świadczy fakt, iż na przykład w moich aktach śledztwa znalazły się obszernie materiały oparte na „rozszyfrowaniu” każdej osoby, której adres znaleźli w moim mieszkaniu w kajeciku z adresami. Rzecz jasna, iż w tym kajeciku nie było żadnych podejrzanych adresów zagranicznych, było natomiast wiele adresów przypadkowych,

<sup>20</sup> W moich wyjaśnieniach ostatecznych z połowy listopada 1970 r. przyznałem jedynie, że mając trudności z dojazdem do Salzburga, skorzystałem z propozycji W. Bartoszewskiego, że jego przyjaciel załatwi mi hotel w Wiedniu. Kładłem nacisk na wyłącznie prywatne moje związki z Bartoszewskim, który był mi wdzięczny za załatwienie przeniesienia pasierba na UMK do Torunia. Stale podkreślałem (t. VII akt, s. 11–64, pełny tekst moich jedynych ostatecznych wyjaśnień), że po pierwsze nie wiem, iż Tadeusz Zawadzki jest identyczny z Tadeuszem Żenczykowskim, że nie wiem, kim jest Tadeusz Żenczykowski, a prośby W. Bartoszewskiego traktowałem jako normalne nowiny kulturalne z kraju dla przyjaciela na Zachodzie. M.in. wyjaśniłem dosłownie: „Dla mnie przebieg pogrzebu Jasiency był faktem kulturalnym o charakterze publicznym i rozmowa na ten temat wydawała mi się rzeczą naturalną w kołach intelektualnych” (s. 34 jw.). Dalej stwierdzałem: „Sądziłem zresztą i uważam tak nadal, że takie kwestie, jak np. wyjazd Słonimskiego czy też dymisja profesora Wyki, to normalne nowiny życia kulturalnego, jakie powinny interesować każdego polskiego inteligenta” (s. 36, jw.). 17 XI 1970 r. zakończyłem moje wyjaśnienia stwierdzeniem: „Z powyżej przytoczonych faktów wynika, że zgodziłem się spotkać z Tadeuszem Zawadzkiem, znajomym Władysława Bartoszewskiego w czasie mego pobytu w Wiedniu. Nie miałem przecież zamiaru, ani świadomości spotkania się z przedstawicielem obcego radia, ale z osobistym przyjacielem Bartoszewskiego dla którego wiozłem prezenty imiennowe i którego zgodziłem się poinformować o pewnych kwestiach zgodnie z prośbą Bartoszewskiego. Nie wiedziałem w tym działania nielegalnego”. Na s. 49 oświadczyłem dodatkowo: „Przed moim wyjazdem do Francji w 1970 w maju widziałem się z Bartoszewskim, ale nie przekazywał mi żadnych zleceń związanych z tym wyjazdem. Nic mi nie jest wiadomo, że Bartoszewski awizował mój przyjazd do Paryża. Mariana Czarneckiego nie znam i nigdy tego nazwiska nie słyszałem. Nigdy żadnego pseudonimu nie używałem i nic mi nie jest wiadomo, abym był określany jakimś pseudonimem”.

starych znajomych itd., itp. Funkcjonariusze ułożyli listę tych osób (także telefony) i po całej Polsce przeprowadzali ustalenia, kto jest kto... Trzeba przyznać, iż SB zbierała swoje materiały o „wrogach” skrupulatnie, często sięgała do informacji z podsłuchów i z śledzenia także mojej osoby przed aresztowaniem. Występują na tej liście dochodzeniowej Stanisław Waltoś i Andrzej Zoll, Jan Prokop i Janusz Szwaja, liczni moi koledzy z UJ, wśród których niemal każdemu SB ze swoich danych przypisywało jakąś „łatkę” typu „wraz z figurantem należał do Klubu Politycznej Dyskusji w Krakowie”, lub w Toruniu „wymieniony w 1966 r. brał udział w powitaniu prymasa Wyszyńskiego” (sic!), innym wypominano krytykę wydarzeń marcowych, podwyżki cen, brak entuzjazmu dla nowych wyborów do sejmu. Niektórym, jak profesor Marii Znamierowskiej-Prüfferowej, zarzucano, że „utrzymuje bliski kontakt towarzyski z matką figuranta, bywała w jego domu i była świadkiem jego wrogich wypowiedzi na temat stosunków panujących w Polsce”.

W sumie to obraz rzeczywisty, w jakich warunkach żyło się, usiłowało się myśleć, czy nawet uprawiać zwykłe życie towarzyskie, a nad tym wszystkim, w skali czas długi niewyobrażalnej, czuwała „władza ludowa”, o której niektórzy historycy (jak Andrzej Walicki) twierdzą nawet, że nie była prawdziwie totalitarna...

Bieg wydarzeń od końca września po połowę listopada 1970 r. wyglądał w więzieniu w istocie monotonnie. Przez kilka tygodni, dzień w dzień, byłem przesłuchiwany przeciętnie 5–6 godzin dziennie. Przyznać trzeba, iż ówczesnie starano się w zasadzie przestrzegać przepisów procedury karnej i regulaminu więziennego. Przesłuchiwanie generalnie prowadzi jakiś kapitan, pozornie życzliwy czy łagodny, nie najwyższego lotu intelektualnego, delikatnie mówiąc. Miał on oczywiście, prawdopodobnie na bieżąco mu udzielane, instrukcje co do pytań, które winien zadawać. Rzecz w tym, że ja uporczywie powtarzałem, co do feralnego dnia 24 września, moją pierwotną wersję, której on już po raz kolejny nie protokołował. Inne pytania natury zdradliwej także wiele mu nie dawały. W rezultacie po jakimś czasie porzucał formalne przesłuchanie (musiał chyba się wykazać godzinami pracy?), bądź miał nakazane prowadzenie rozmów swobodnych na różne tematy dla lepszego „rozpoznania” mojej osobowości. Często była to rozmowa na tematy historyczne, wywołana może tym, że dość ostro kiedyś powiedziałem, z czym dla mnie wiąże się „Mokotów” i praktyki stalinowskie, na co oficer śledczy wyraźnie się formalnie odcinał od tej przeszłości... Siłą rzeczy wiedzieli dobrze i dokładnie, że ja do miłośników ustroju nie należę, stąd kiedyś oświadczyłem mu na jakieś pytanie bez ogródek mniej więcej tak: „Proszę Pana, dobrze wiemy, że ja nie jestem zwolennikiem ustroju komunistycznego. Moje poglądy, których publicznie nigdy nie głosiłem, nie podlegają żadnej sankcji karnej. Ostatecznie do PZPR nigdy się nie wpisałem, mimo sugestii, komunisty nie udaję. Natomiast oświadczam, że zajmuję się przede wszystkim pracą naukową i stwierdzam jako prawnik, że żadnego przestępstwa karnego w PRL nie popełniłem!”. Oczywiście, oni uważali inaczej, lecz chodziło mi tu o zaakcentowanie mojej pozycji jako osoby dalekiej od ideologii PRL, ale usiłującej przestrzegać jej przepisów...

Wspominałem już, że w aktach SB, które zostały mi udostępnione przez IPN, nie ma niektórych materiałów związanych z moją osobą. Nie ma więc owych kilkunastu protokołów wypełnianych w śledztwie przez okres od września do listopada czy grudnia, nie ma żadnych materiałów kontrwywiadu SB, tj. tego pionu, który dokonał mojego zatrzymania. Takie materiały widocznie nie trafiły do teczek osób inwigilowanych bądź zostały, jako nieistotne, (?) zniszczone. Warto jednak zaznaczyć, iż w tokuanego śledztwa dwukrotnie (raz w październiku, a drugi raz chyba w początku grudnia, kiedy właściwe śledztwo jakby było już zakończone) byłem dodatkowo wzywany na przesłuchania poza normalnymi godzina-

mi przesłuchań (te jednak trwały z reguły przez przedpołudnie lub bezpośrednio po obiedzie), w porach wieczornych, i to nie do oficjalnych pokoi śledczych, które mieściły się chyba na I piętrze budynku, ale do innej części budynku. Było to nie tyle przesłuchanie, ile szczególnie rozmowa z jednym lub dwoma, oczywiście w cywilu, wyższymi oficerami SB, którzy z miejsca deklarowali, że nie są oficerami śledczymi, że prawna strona sprawy ich bezpośrednio nie interesuje, że im zależy tylko na „wyjaśnieniu sprawy”, i to dla mojego dobra. Proponowali ponownie swego rodzaju nieoficjalny układ. Po pierwsze, marginesowo stwierdzali, że przecież Władysław Bartoszewski, którego ja tak chronię swoimi wyjaśnieniami, jest na wolności, że zadowolili się wyjaśnieniem z nim pewnych spraw na drodze nieoficjalnej. Była to dla mnie rewelacja w tym sensie, że ja czas długi (a właściwie do wyjścia z więzienia) byłem przekonany, że skoro głównym podejrzanym jest Władysław Bartoszewski, to naturalnie także on siedzi na Mokotowie. Żadnych możliwości lub kontaktów zewnętrznych czy wewnątrz więzienia nie miałem i stąd nie mogłem wiedzieć na pewno, czy jest aresztowany, czy nie<sup>21</sup>. W każdym razie tę rewelację traktowałem raczej jako prowokację i jej nie wierzyłem. Nb. w czasie śledztwa w październiku pokazywano mi protokoły z zeznaniami na mój temat Ewy Dreżypolskiej, Zofii Bartoszewskiej i pasierba Bartoszewskiego — Bachurzewskiego. Ten, jeżeli chodziło o dzień 24 września, całkowicie mnie pogrążył: nie był traktowany jako podejrzany, ale jako świadek i dokładnie opowiedział cały mój pobyt w willi Bartoszewskich w dniu 24 września, podkreślił, że to z nim się pożegnałem, wychodząc od Bartoszewskich koło 20 wieczorem, a nawet, co mógł sobie zaoszczędzić (!), podał drobny fakt, że zapisując sobie numer autobusu, do którego miałem wsiąść, jadąc na Okęcie, zapomniałem na stoliku u Bartoszewskich mojego długopisu — Parkera. Nb. rzeczywiście tego Parkera, który był prezentem od siostry stryjecznej z Londynu, do dziś nie odzyskałem... Natomiast prawdą jest, że w śledztwie co do mnie nie powoływano się na żadne wyjaśnienia Bartoszewskiego.

W rozmowach owi oficerowie SB proponowali, że uzyskają dla mnie uchylenie aresztu śledczego i że następnie — na przykład w jednym z hoteli warszawskich — spotkają się ze mną nieoficjalnie, bym mógł wyjaśnić pewne sprawy, w które zostałem zamieszany, i w ten sposób będę mógł wrócić na uniwersytet. Dwukrotnie taką propozycję odrzuciłem i pozostałem w areszcie... W istocie to dopiero jakiś czas po wyjściu z aresztu dowiedziałem się, głównie z informacji płk. Rybickiego, iż rzeczywiście W. Bartoszewski nie był formalnie nigdy aresztowany i zgodził się na jakieś rozmowy nieoficjalne, poza oficjalnymi przesłuchaniami, na których wszystko formalnie negocjował. Spotykał się m.in. z wyższym oficerem SB płk. Janicem<sup>22</sup>, o czym pisał w swoich *Dziennikach* Stefan Kisielewski<sup>23</sup>.

Łącznie w areszcie śledczym na Mokotowie spędziłem prawie cztery pełne miesiące. Warto więc opisać może dzień codzienny więźnia politycznego w PRL w epoce „późnego

<sup>21</sup> Wspomniany agent celny „Skryba” (Akta, t. VI, s. 1) donosił 11 I 1971 r. (a więc to ostatnie spotkanie miało miejsce z oficerami jeszcze w styczniu) dosłownie: „Salmonowicz po powrocie z popołudniowego spotkania, wrócił do celi bardzo zmartwiony, zdenerwowany. Na moje pytanie co się stało, odpowiedział, że rozmawiał z wyższymi oficerami MSW, którzy zaproponowali mu współpracę za cenę wyjścia na wolność i powrót na uniwersytet. Przedstawił przy tym cały przebieg rozmowy i określił ją epitetem, porównując tę sytuację do wielu sytuacji okupacyjnych”.

<sup>22</sup> Płk Marian Janic od 30 IX 1960 do 30 IX 1971 był zastępcą dyrektora gabinetu ministra spraw wewnętrznych, *Aparat bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza*, t. II: 1956–1975, red. nauk. P. Piotrowski, Warszawa 2006, s. 36.

<sup>23</sup> Por. S. Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1990, s. 497–498.

Gomułki". Należy podkreślić, iż budynek „Mokotowa” został gruntownie zmodernizowany po okresie stalinowskim. Cele w zasadzie parosobowe były urządzone stosunkowo — jak na więzienie — przyzwoicie. W areszcie ówczesnie nie było zdecydowanego przepełnienia. Jedyną dużą grupą aresztowanych więźniów politycznych była młodzież ze wspomnianej organizacji katolickiej „Ruch”, kierowanej niezbyt udanie przez braci Czumów. Do kierownictwa należeli także wspomniany Stefan Niesiołowski, dziś dobrze znany i wybitny polityk, jak i Emil Morgiewicz, który również moim zdaniem należał do wybitnych (także w okresie późniejszym) działaczy antykomunistycznych, był bardzo sympatyczny i inteligentny. Ubocznie poznałem także innych członków „Ruchu”. Z innej strony więzienia były oddziały kobiece. Zdawałem sobie sprawę, że zarówno Ewa Dreżypolska, jak i Danuta Bańkowska są w celach kobiecych. Jakiejś jednak komunikacji z prawdziwego zdarzenia między celami nie było. Obowiązywały surowe rygory anonimowości więźniów od lat oparte na zwyczajach NKWD. Żaden więzień, wychodzący z celi na spacer, do śledztwa czy do lekarza, nie miał prawa spotkać się z innym więźniem na swej drodze, poza więźniami funkcyjnymi, tj. więźniami kryminalnymi odbywającymi już wyroki i wykonującymi różne funkcje w ramach więzienia. Nb. ja sam byłem absolutnie odcięty od świata: nie miałem widzeń, nie otrzymywałem żadnych listów i dopiero po moich ostrych protestach uzyskałem pierwszy list od żony (sprzed miesiąca i cenzurowany oczywiście) gdzieś w końcu listopada.

Wyżywienie w tej epoce kryzysowej Polski Gomułki było rzecz jasna mizerne. Można było, mając pieniądze na koncie, w pewnej mierze dokupywać żywności w więzieniu (cebula, smalec, serki topione — do dziś do ust nie wezmę serka topionego!). Po jakimś czasie otrzymałem jedną czy drugą paczkę z domu, ale to był już chyba grudzień.

Więźniowie byli wyprowadzani na spacer, w celi działało ogrzewanie centralne, można było dostawać, ale w bardzo kuriozalny sposób, coś do czytania z biblioteki więziennej, a także otrzymywaliśmy, nie pamiętam, czy każdego dnia, egzemplarz „Trybuny Ludu”!

Tak mniej więcej wglądało nasze bytowanie aż do wydarzeń grudniowych 1970 r. Gdzieś do początków grudnia byłem stale intensywnie przesłuchiwany, potem — po kolejnym przesłuchaniu oficjalnym przez panią prokurator Pancer, które w istocie kończyło śledztwo, byłem wzywany tylko sporadycznie koło 15 grudnia. I nagle zaczęły się wydarzenia grudniowe. Pierwszym ich objawem był fakt, iż cele zaczęto zapierać osobami aresztowanymi w Warszawie w związku z ogłoszoną podwyżką cen. Pamiętam, że w celach liczba osób przekraczała liczbę miejsc. Do mojej celi trafiali różni dziwni „przestępcy”. Jeden, jak dokładnie pamiętam, oburzony podwyżką, napisał na banknocie stułotowym kilka słów chyba pod adresem Gomułki czy PZPR. Następnie o napisie zapomniał i chciał płacić tym banknotem w kasie kolejowej. Otóż rzecz warta zanotowania: kasjerka z miejsca powiadomiła MO kolejowe i facet został aresztowany. Inny, po pijanemu, powiedział wyraźnie, co myśli o ustroju komunistycznym. Także został aresztowany. O tym jednak, że w kraju dzieją się rzeczy ważniejsze, przekonywały nas kolejne wydarzenia: w świetlicy (do której chodzili więźniowie funkcyjni i słuchali radia lub telewizji) odcięto dostęp do mediów. Następnie zauważyliśmy, że strażnicy otrzymali do stałego wyposażenia pistolety maszynowe (normalnie mieli tylko w kaburach rewolwery), a co było może najznamienniejsze — przerwano chyba wszelkie śledztwa i w więzieniu zaczął narastać stan podniecenia. Więźniowie małoletni i kryminalni, którzy nie przejmowali się nadmiernie służbą więzienną, krzyczeli z celi do celi wieczorami jakieś ułamki wieści o tym, co się dzieje w kraju. „Trybuna Ludu” przestała nam być dostarczana. I dopiero kiedy władze opanowały sytuację na Wybrzeżu i ogłoszono o zmianach we władzach — odejście Gomułki, odejście Spychalskiego itd. — więzienie zaczęło „wracać do normy”, praktycznie dopiero po Świętach Bożego Narodzenia. Tak więc z opóźnieniem

i głównie w wersji oficjalnej dowiedzieliśmy się o wydarzeniach na Wyrbrzeżu oraz o objęciu władzy przez Edwarda Gierka. Kiedy zaczęto wypuszczać w paru falach z więzienia osoby aresztowane w grudniu, było jasne, że „władza” idzie, przynajmniej chwilowo, na ustępstwa, że stara się załagodzić kryzys. W rezultacie już u progu stycznia liczyłem, że jest szansa na łagodniejszy wariant moich kłopotów. Okazało się jednak, iż różne decyzje zapadały powoli, może nie bez oporów w łonie kierownictwa SB. Przez cały niemal styczeń, aż do 20 stycznia, w mojej sprawie nic się nie działo, nie byłem wzywany na nowe przesłuchania, ale przecież przedłużony w grudniu areszt (mimo moich odwołań) obowiązywał bodaj do końca lutego. Ostatecznie jednak władze zdecydowały się sprawę RWE „wyciszyć”, być może uważając, iż rozbiły całkowicie siatkę informacyjną Władysława Bartoszewskiego.

Kilka jeszcze refleksji na temat sprawy, która w konsekwencjach była poważną katastrofą dla mnie i dla mojej rodziny.

W czasie śledztwa kierowałem się cały czas dwoma zasadami — w pierwszej fazie śledztwa nade wszystko, by w niczym nie zaszkodzić W. Bartoszewskiemu, w drugiej fazie, wiedząc już wszystko, co oni wiedzą, nadal w niczym nie obciążyłem nikogo, ale starałem się wytworzyć w śledztwie wrażenie, że po pierwsze jestem swego rodzaju rodzaju naiwnym uczonym, który sam nie wie, o co tu w ogóle chodzi, a od strony ściśle prawnej chciałem ciągle pilnować sytuacji, by moje ujawnione związki z Bartoszewskim traktować jako towarzyskie, bez żadnej wiedzy o związkach z „Wolną Europą”. Liczyłem się z tym, że w ewentualnym procesie będę stał twardo na stanowisku, iż nie współpracowałem z „Wolną Europą”, a jedynie łączyły mnie intelektualne więzi w kraju czy za granicą. Oczywiście, taka obrona wobec sądu w PRL wiele by nie dawała, ale była równoznaczna z nieprzyznawaniem się do winy, co uważałem za istotne. Tak czy inaczej, w jednej rzeczy byłem spokojny, że nie obciążyłem żadną informacją W. Bartoszewskiego, choć oczywiście wiedziałem od początku, że moja podróż do Wiednia via kontakty W. Bartoszewski była SB znana w najdrobniejszych szczegółach — nie z mojej winy!

Nb. było dla mnie rzeczą zawsze zadziwiającą, że w toku śledztwa pasierb Bartoszewskiego, Piotr Bachurzewski (jego zeznania są w aktach), obciążał mnie swoimi zeznaniami, a równocześnie zeznania te pośrednio obciążały przecież samego Bartoszewskiego: każda bowiem z osób „siedzących na Mokotowie” nie była oskarżona o jakieś samodzielne działania w powiązaniu z zagranicą, ale tylko o „pomoc” udzielaną Władysławowi Bartoszewskiemu. Nawet pasierb Bartoszewskiego mógł odmówić zeznań na mój temat (a złożył je bardzo szczegółowe i druzgocące dla mnie), oświadczając, że każde zeznania na mój temat mogłoby obciążać jego ojczyrna... Takiej przecież deklaracji nie złożył, zapewne był tak przestraszony, że wszystko, co wiedział (a niepotrzebnie w tym domu wszyscy wiedzieli za wiele!), wyjawiał oficerowi SB.

Kiedy opuszczałem „Mokotów”, związany z tyloma wspomnieniami moich krewnych i przyjaciół rodziny, byłem w dobrym nastroju. Sądziłem, że wydarzenia grudniowe, odejście Gomułki, pozwalają mi wyjść cało z opresji. Po przeżytych doświadczeniach zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że mogę być nadal pilnie obserwowany. Stąd z nikim w Warszawie się nie kontaktowałem i wróciłem bezpośrednio do Torunia. Niestety mój optymizm wkrótce okazał się nadmierny: w praktyce ze wszystkich osób zamieszanych w warszawską sprawę tylko ja byłem tak gruntownie przez wiele lat represjonowany. 10 II 1971 r. minister oświaty i szkolnictwa wyższego zwolnił mnie z pracy ze skutkiem natychmiastowym. Natomiast sprawa karna została wprawdzie umorzona postanowieniem Prokuratury Stołecznej z dnia 29 IX 1971 r. (podpisała ją pani prokurator Maria Pancer), jednakże postanowienie nie stanowiło usprawiedliwienia dla mnie i innych oskarżonych, decyzja o umorzeniu uznawała bo-

wiem, że współpracowaliśmy z „Wolną Europą”, ale umorzenie śledztwa nastąpiło „z uwagi na znikome niebezpieczeństwo społeczne”. Warto dodać, iż w tym postanowieniu po raz pierwszy moja osoba została wysunięta na pierwszy plan, jakkolwiek z tekstu uzasadnienia wynikało, że jestem oskarżony tylko o udzielanie pomocy innym osobom. Obszerne uzasadnienie decyzji prokuratorskiej ujęło szeroko kwestie związane z działalnością Danuty Bańkowskiej i Ewy Dreżypolskiej, także na podstawie ich przyznania się do kontaktów zarówno z W. Bartoszewskim, jak i z Tadeuszem Żenczykowskim. Natomiast co do mnie, zarzuty opierały się na zeznaniach Piotra Bachurzewskiego i Ewy Dreżypolskiej oraz na potwierdzeniu przeze mnie faktów (ale nie ich interpretacji) co do niedosłęgo wyjazdu do Salzburga. Wcześniejsze moje wyjazdy zagraniczne nie znalazły tu żadnego ustalenia. W decyzji prokuratury nie ma żadnej wzmianki o zeznaniach Zofii Bartoszewskiej, a wyjaśnienia Władysława Bartoszewskiego ujęte w tym piśmie miały charakter wyłącznie zanegowania treści wszystkich zebranych dowodów. Prokurator Pancer przyjęła, że jego wyjaśnienia były niezgodne z prawdą. Taka była oficjalna ostateczna wersja zamykająca sprawę. Natomiast ja zaskarżyłem tę decyzję, niewiele wprawdzie licząc na sukces, do Generalnej Prokuratury, żądając uniewinnienia i raz jeszcze powtarzając obszernie mój pogląd prawny, że nic mi nie jest wiadome, iż Władysław Bartoszewski współpracował z „Wolną Europą”, że sądziłem, iż spotykam się w Wiedniu z Tadeuszem Zawadzkiem, nic nie wiem, by był on pracownikiem „Wolnej Europy” i że cała ta sprawa miała dla mnie charakter wyłącznie kontaktu towarzyskiego. Żądałem więc umorzenia sprawy nie na zasadzie „znikomego społecznego niebezpieczeństwa”, ale na zasadzie braku winy umyślnej z mej strony. Twierdziłem, że nie można „nieumyślnie” wchodzić we współpracę z jakąś instytucją, nie wiedząc, że ma się do czynienia z jej przedstawicielami...

Minęło sporo czasu i dopiero 13 IV 1972 r. Prokuratura Generalna utrzymała zaskarżone postanowienie w mocy. Jest rzeczą jasną, pomijając inne aspekty sprawy, iż uznanie, że oskarżeni byli niewinni, byłoby niekorzystne dla prokuratury, skoro cztery osoby przebywały czas pewien w areszcie śledczym. Moje spory prawne z władzami na tym się nie kończyły: odwoływałem się od decyzji ministra zwalniającej mnie z pracy — bezskutecznie, odwoływałem się przez chyba dwa lata od decyzji o konfiskacie mojego pięknego zbioru literatury emigracyjnej, zabranego mi w czasie rewizji domowej — także bezskutecznie. Dodam tylko krótko, iż aż do lutego 1972 r. pozostawałem bez pracy. Wszelkie wysiłki, zwłaszcza Stanisława Stommy, znalezienia mi pracy w instytucjach kościelnych były — w związku z *vetem* — SB bezskuteczne. Żyłem na koszt żony, żadnej pomocy nie uzyskiwałem i dopiero wysiłki grona profesorów, zwłaszcza Gerarda Labudy, Konrada Górskiego, spowodowały, iż w lutym 1972 r. dyrektor IH PAN Czesław Madajczyk, za co wielce jestem mu wdzięczny, podjął odważną decyzję zatrudnienia mnie na... etacie adiunkta bez pytania władz PAN o zgodę... Nie zmieniło to faktu, iż jak dziś wiem dokładnie, byłem przez wiele lat pilnowany bardzo troskliwie: przez kilka lat agenci pilnowali mnie cały dzień, nawet w Bibliotece Uniwersyteckiej (!), wszystkie moje kolejne mieszkania były na podsłuchu, oczywiście nie dostawałem przez wiele lat paszportu na wyjazdy „na Zachód”, korespondencja była ściśle kontrolowana, itd.<sup>24</sup> Nie będę opisywał, kto wśród nielicznych kolegów, którzy utrzymywali ze mną kontakty w najgorszych latach (1971–1979), wykonywał w istocie zadania zlecone...

<sup>24</sup> Stąd ze zrozumiałych względów przez wiele lat utrzymywałem tylko pośrednie kontakty z Tadeuszem Żenczykowskim, głównie przez prof. Wacława Szyszkowskiego, który często był w USA. Po upadku reżimu nawiązaliśmy bezpośrednie serdeczne stosunki, publikowałem za jego pośrednictwem w Londynie i w 1994 r. mogłem go tam odwiedzić, gdy pracowałem w Studium Polski Podziemnej jako stypendysta Fundacji K. Lanckorońskiej, por. mój artykuł pt. *Tadeusz Żenczykowski (1907–1997)*

## Próba wniosków ogólnych

Dziś już wiemy stosunkowo wiele o różnych aspektach polityki, strategii i taktyki służb specjalnych PRL po roku 1956, choć nie brak ciągle wielu sporów na te tematy, zazwyczaj określanych indywidualnymi przyczynami. Osobiście skłonny byłbym sformułować następujące wnioski w zakresie mojej wiedzy o tych sprawach. Chodzi tu zresztą o wnioski na dwóch płaszczyznach: nie tylko co do działań i metod SB, ale i o postawach środowisk opozycyjnych w tych kwestiach. Faktem jest, iż widać wyraziście, że zorganizowane służby specjalne PRL, od momentu, kiedy ponownie zaczęły bardzo aktywnie działać (w moim przekonaniu — ale może się tu myśleć co do chronologii — owe zdecydowanie szerokie działania po zamęście lat 1955–1957/1958 to gdzieś od 1960 r.), rozwinęły zupełnie nowe techniki operacyjne, wprowadzały użycie coraz nowocześniejszego sprzętu technicznego, a przede wszystkim — po pewnym załamaniu sieci agenturalnej około roku 1956 — sieć ta zaczęła być niezwykle szeroko rozbudowywana w latach 60., przy czym obok rzecz jasna tradycyjnych zadań „pilnowania” Kościoła katolickiego, tzw. rewizjonistów czy trockistów, coraz szerzej ponownie opłata się nowymi sieciami agentów środowiska twórcze, intelektualne, ze środowiskiem literackim oraz niektórymi, źle widzianymi uniwersytetami na czele. Myślę, że do roku 1968 można zaryzykować pogląd, iż nowa SB chce już wszystko w miarę możliwości wiedzieć, gromadzi materiały nie tylko na „prawdziwych” opozycjonistów (takich, powiedzmy sobie szczerze, do 1970 r. wielu w skali kraju nie było), ale na wszystkie osoby, które wzbudziły ich zainteresowanie nawet niemal zupełnie marginesowymi krytycznymi postawami wobec rzeczywistości PRL. Także w sprawach nielicznych konkretnych czynów osób, które uznano za niebezpieczne, działania represyjne są podejmowane bez pośpiechu: SB gromadzi nieraz czas dłuższy materiały (np. infiltrując niemal od początku słynną organizację młodzieżową „Ruch” braci Czumów i Stefana Niesiołowskiego, ale uderzając policyjnie dopiero w szczególnym momencie tzw. akcji poronińskiej). Niektóre ostre represje wobec pisarzy były — jak się zdaje dzisiaj — wyrazem osobistych nacisków Władysława Gomułki, który od Listu 34 i utworów Janusza Szpotańskiego reagował bardzo nerwowo na wszelkie informacje o „kno-waniach” literatów, co znalazło jaskrawy wyraz w niewiarygodnie napastliwym ataku na Jasienicę.

Generalnie typ metody czy taktyki SB zbierania materiałów, osaczania danej osoby, ale w sposób trudno zauważalny, powodował także — co miało swoje koszty — iż zwłaszcza w okresie przed 1968–1970 r., częściowo ulegając złudzeniom ery popaździernikowej, różne środowiska quasi-dysydenckie nie zdawały sobie sprawy z rozmiarów inwigilacji, z możliwości technicznych (i finansowych) SB, a zwłaszcza zupełnie nie wyobrażano sobie, że po epoce stalinowskiej mogą być — jakże łatwo pozyskiwane! — nowe, prężne i nieraz bardzo gorliwe sieci agenturalne.

Od dawna w kołach dalekich od reżimu zdawano sobie sprawę z tego, że telefon jest w PRL „publicznym środkiem informacji”. Nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy z szerokiego stosowania podsłuchów instalowanych w mieszkaniach osób inwigilowanych, prowadzenia całej akcji fotografowania osób śledzonych, a nade wszystko wielu zasłużonych dla spraw opozycyjnych działaczy, przynajmniej do powstania KOR-u, dalece nie przestrzegało ścisłych zasad dyskrecji. Niestety, jak częściowo na to wskazałem powyżej, dotyczyło to zwłaszcza warszawskich środowisk literackich, salonów i kawiarni, gdzie się nieraz

---

*a koncepcje walki cywilnej w latach 1939–1945, w: Świat, Europa, mała ojczyzna. Studia ofiarowane Profesorowi Stanisławowi Grodzkiemu w 80-lecie urodzin, pod red. M. Mateckiego, Bielsko-Biała 2009, s. 871–884. Artykuł oparty jest na materiałach, które Żencyzkowski przekazał mi w Londynie.*



zbyt wylewnie traktowało osoby, jak dziś wiemy niezasługujące na zaufanie. *Casus* „Ewy” w środowisku Pawła Jasienicy jest tu szczególnie przykry, tym bardziej iż były już wówczas pewne podejrzenia pod jej adresem, które uporczywie w tym środowisku odrzucano... Jest rzeczą ciekawą, że także ludzie z dużym stażem okupacyjnym nie przestrzegali w latach 60. owych zasad dyskrecji. Jako bywalec w środowiskach byłych wyższych oficerów AK mogę powiedzieć, iż wzorem dyskrecji był płk Józef Rybicki, także mój wuj, płk Muzyczka, który jednakże czasami, jak dziś mi wiadomo, nie zawsze w porę rozszyfrował niektórych agentów z piękną, wydawałoby się, kartą okupacyjną, czy nawet epoki więzień doby PRL. Piszę o tym, nie po to, by kogokolwiek ostro krytykować, zdaję sobie sprawę także z faktu, iż opozycyjne środowiska przed rokiem 1970 i powstaniem KOR-u były swoistymi „magnami” o niejasnych granicznych konturach, co powodowało, iż na obrzeżach zawsze dość łatwo trafiali się agenci wiadomych służb.

Ostatnie uwagi ogólne. Pierwsza dotyczy na odmianę faktu już podkreślanego w moich wspomnieniach powyżej: „Wolna Europa” dysponująca sporym, z różnych nieraz źródeł, strumieniem informacji „z Kraju” nie zawsze niestety rozważała dostatecznie, czy jakaś informacja otrzymana od czynników krajowych może w jej oryginalnej wersji pierwotnej pozwolić na dość łatwe ustalenie przez SB źródeł „przecieku”. W takiej kwestii zabrakło — jak sądzę nie raz — owej starej metody wywiadowczej: jeżeli upublicznimy jakąś informację z obozu „wroga”, to wiedząc, od kogo ona pochodzi, publikujemy ją z jakimiś, merytorycznie raczej nieistotnymi, błędami, które pozwalają przecież na zasadzie „głuchego telefonu” odsunąć podejrzenia od osoby, która była z pewnością w posiadaniu takiej informacji.

Kwestia druga, metodologicznie ważna dla podobnych spraw: moja sprawa dowodzi, że SB w kwestiach represjonowania pewnych zespołów opozycyjnych stosowała także przemyślaną taktykę całkowitego skłócenia ludzi takiego zespołu, już w trakcie śledztwa manipulując na różny sposób „doniesieniami agentów celnych”, fałszywymi bądź prawdziwymi, a także fałszywymi bądź manipulowanymi wyjaśnieniami współoskarżonych, które przedstawiano następnie innym osobom danego śledztwa. Myślę, iż ta taktyka odnosiła, a nawet do dziś odnosi nieraz zdumiewające sukcesy w skłócaniu dawnych środowisk opozycyjnych i stad mój tekst jest także ostrzeżeniem metodologicznym w tego typu sprawach.

Ostatnia refleksja, także nie bez znaczenia, dotyczy polityki „rozwarstwiania” wśród nielicznych opozycjonistów lat 60., a zwłaszcza epoki Gierka: z wyjątkiem szczególnych przypadków (jak osobista wrogość Władysława Gomułki wobec Pawła Jasienicy) polityka represyjna będzie wyraźnie rozróżniać między „celebrytami” opozycji, typu Jerzego Andrzejewskiego czy Stefana Kisielewskiego, a zwykłymi „szarakami opozycyjnymi”. Ci pierwsi, choć oczywiście nie zawsze, mogli liczyć na jakąś taryfę ulgową, bezkarne odwiedzanie czy nawet mieszkanie w „Maisons-Laffite”..., ci drudzy, zwłaszcza jeżeli byli spoza Warszawy, na żadną taryfę ulgową nie mogli liczyć. Być może było w tym racjonalne założenie, że „warszawscy celebryci” bez pomocy współpracowników, czy „adiutantów”, wiele by nie zdziałali. To było bardzo widoczne w polityce wobec KOR-u: rozróżnienie w represjach bardziej brutalnych między czcigodnymi członkami *pleno titulo* w KOR-ze a ich młodymi współpracownikami, dla których już względów nie było! Ta garść moich, jeżeli nawet w jakiejś mierze subiektywnych refleksji z pozycji „szaraka”<sup>25</sup> niech służy także jako metodologiczne ostrzeżenie dla młodych historyków w tej dziedzinie pracujących.

---

<sup>25</sup> Ciekawe, że w słynnym tajnym Okólniku Prokuratora Generalnego PRL z 30 X 1980 r. (nr DP 0561/80), o polityce ścigania działalności antysocjalistycznej, tylko ja zostałem wspomniany wśród osób ściganych represyjnie, a inne osoby z mojej sprawy karnej nie zostały wymienione.